NR VII/2008

ISSN 1508-8979

10 lat

NIKE

Integracyjne pismo społeczno-kulturalne

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

NIKE

STOWARZYSZENIE NA RZECZ TWÓRCÓW NIEPEŁNOSPRAWNYCH

10 LAT
1998-2008

Odeszli, nie wrócą – wspomnienia o Andrzeju Koziarze i prof. Simonie Kossak, naszych autorach i mentorach, którzy zmarli w 2007 roku

Depresja i sztuka – teoria i praktyka arteterapii

Oswajanie śmierci – ostatnie teksty Andrzeja Koziary

10 lat z NIKE – wywiad z założycielami Stowarzyszenia na Rzecz Osób Niepełnosprawnych NIKE

Stowarzyszenie na Rzecz Twórców Niepełnosprawnych NIKE jest organizacją o charakterze non-profit, wspierającą działania umożliwiające osobom o różnym rodzaju niepełnosprawności rozwijanie zdolności artystycznych. Inicjatorami powstania organizacji skupiającej ludzi wokół idei promocji twórczości osób niepełnosprawnych byli pracownicy białostockich ośrodków dla osób niepełnosprawnych. Za symbol stowarzyszenia obraliśmy sobie grecką rzeźbę Nike z Samotraki, która mimo okaleczenia, jest w dalszym ciągu piękna, jest klasyczną sztuką.

Od 1998 roku prowadzimy program rehabilitacji społecznej oraz promocji twórczości osób niepełnosprawnych poprzez szeroki wachlarz działań jak: plenery, wystawy, konkursy plastyczne, spotkania z poezją, zajęcia arteterapii oraz wydawnictwa. Celem naszych działań jest kompensowanie skutków niepełnosprawności w sferze funkcjonowania społecznego i psychicznego, integracja ze środowiskiem lokalnym, zaistnienie poza najbliższą rodziną.

Większość członków naszego Stowarzyszenia, na co dzień pracuje z osobami niepełnosprawnymi, ale mamy też wśród swoich sympatyków przedstawicieli środowisk nauki, kultury i sztuki. Działamy w oparciu o środki finansowe przekazywane przez instytucje, firmy i osoby prywatne.

Wydawca:
Stowarzyszenie na Rzecz Twórców Niepełnosprawnych NIKE
ul. Baranowicka 203, 15-530 Białystok, tel. 0 604 621 638
www.nike.bialystok.pl, e-mail: nike@nike.bialystok.pl

Projekt i opracowanie:
Aurastudio

Zdjęcia:
Michał Sadowski
Bogusław Florian Skok
Kees Beekmans
Robert Półkośnik
Andrzej Wołkowycki

Druk:
Drukarnia MZGraf

Zrealizowano przy pomocy finansowej Prezydenta Miasta Białegostoku

Sponsorzy Stowarzyszenia:

Państwowy Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych
Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Białymstoku
URZĄD MIEJSKI W BIAŁYMSTOKU
URZĄD MARSZAŁKOWSKI WOJEWÓDZTWA PODLASKIEGO
ZGB
PHILIPS
PZU SA
Instytut Wydawniczy Kreator
MZGraf

10 lat NIKE
1998-2008
STOWARZYSZENIE NA RZECZ TWÓRCÓW NIEPEŁNOSPRAWNYCH

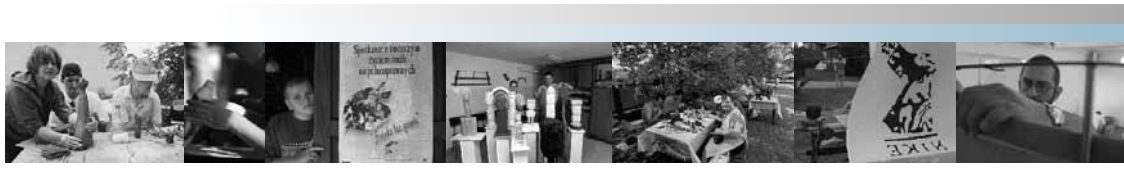

Drodzy Czytelnicy!

Czas leci nieubłaganie, kolejny rok za nami, a nasze Stowarzyszenie obchodzi jubileusz 10-lecia istnienia. Czas na refleksje i podsumowania.

Zaczynaliśmy skromnie, od idei wydania kalendarza z pracami twórców niepełnosprawnych. Dzisiaj mamy w programie kilka imprez o zasięgu ogólnopolskim, prowadzimy działalność wydawniczą, organizujemy imprezy integracyjne i wystawy. Niejednokrotnie zadawaliśmy sobie pytanie czy czas, który upłynął, był dobrze spożytkowany – czy wykorzystaliśmy wszystkie szanse i możliwości działania? Czy prowadząc naszą działalność potrafiliśmy nieść autentyczną, oczekiwana pomoc innym ludziom? Wydaje nam się, że tak. Nie zamierzamy wynosić swoich zasług na piedestał, ale też nie chcemy być posądzeni o fałszywą skromność. Robiliśmy i robimy rzeczy pożyteczne. Nie zawsze na taką skalę, jakbyśmy chcieli – nigdy w takim kształcie, byśmy musieli się wstydzić. Czujemy, że to całkiem dobry wynik.

Niestety w ciągu tych dziesięciu lat odeszli od nas ludzie, z którymi byliśmy zaprzyjaźnieni. Nie tak dawno pożegnaliśmy dwie wybitne postacie związane z naszym stowarzyszeniem i środowiskiem w jakim się obracamy. W 2007 roku odeszli na zawsze profesor Simona Kossak i Andrzej Koziara. To wielka strata dla nas wszystkich. Te dwie diametralnie różne osobowości, przez wiele lat wspierały nasze środowisko. Światy w jakich poruszali się były niedostępne dla zwykłych ludzi.

Dzięki profesor Simonie Kossak nasi niepełnosprawni podopieczni mieli możliwość przeżycia niezwykle barwnych i interesujących wycieczek do Puszczy Białowieskiej, poznania zwierząt w niej żyjących, uświadomienia sobie, że wszyscy jesteśmy cząstką przyrody. A wszystko to obywało się za pomocą… słowa. Barwne opowieści Simony Kossak pozwalały wszystkim bez wyjątku przeżyć wędrówki po lesie i historii. To było jak trans, w który wprowadzić potrafi tylko prawdziwy szaman.

Dzięki Andrzejowi Koziarze mogliśmy współtworzyć nasze pismo, a przede wszystkim dzięki jego talentowi mogliśmy zaprezentować w sposób profesjonalny kilku wybitnych twórców. Andrzej to przede wszystkim wybitny krytyk sztuki, który był jak szlifierz diamentów wydobytych z nicości.

A my, którzy pozostaliśmy? Idziemy dalej obraną 10 lat temu drogą.

Życzymy miłej lektury.

Andrzej Wołkowycki

Adres redakcji:
ul. Baranowicka 203
15-530 Białystok 5

tel. 604 621 638
www.nike.bialystok.pl
e-mail: nike@nike.bialystok.pl

Wydawca:
Stowarzyszenie na rzecz Twórców Niepełnosprawnych NIKE
ul. Baranowicka 203
15-530 Białystok 5

Prezes Honorowy:
Iraida Kaskiewicz
Redaktor naczelny:
Andrzej Wołkowycki
Zastępca Redaktora Naczelnego:
Andrzej Wolski
Redaktor techniczny:
Krzysztof Majer
Współpracownicy:
Dorota Bogusławska,
Andrzej Koziara,
Anna Markowa,
Jerzy Szerszunowicz

Projekt graficzny:

agencja reklamy benkowski

15-227 Białystok,
ul.Podleśna 12/16
Dział Sprzedaży i Marketingu
tel./fax (0 85) 745 52 45
e-mail: agencja@benkowski.pl

Czasopismo zostało dofinansowane ze środków Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych

Państwowy Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych

Wspomnienie o Andrzeju Koziarze

Mógł pisać o wszystkim. O takich dziennikarzach mówi się: „mają świetne pióro” albo „łatwość pisania”. Często wiąże się to z łatwością ględzenia o wszystkim i o niczym. On tego nie lubił. Jak mówi jego żona i towarzyszka pracy, Elżbieta: „Nienawidził głupoty. I krupniku. Brzydził się ludźmi śliskimi. Bał się starości, zniedołężnienia. Lubił ludzi, swoją pracę, uwielbiał chodzić do teatru, na wystawy, do kina, dużo czytał, ciągle coś pisał”. Pisanie o kulturze i wszystkim, co się z nią wiązało, wybrał świadomie. Od kultury zaczynał karierę dziennikarską i kulturze pozostał wierny aż do końca.

Znacie go z łamów Nike. Pisał tu dużo i wytrwale, korzystając z fachowej wiedzy i przebogatego doświadczenia. Pochylał się nad pracami artystów amatorów z taką uwagą, jakby odnalazł dzieła niekwestionowanych mistrzów koloru, kreski. Wydobywał ukryte znaczenia z obrazów, nadawał nazwy technikom i inspiracjom, porównywał do osiągnięć światowego malarstwa prace, które dla większości z nas były po prostu „ładne”. Więcej już tego nie zrobi. Andrzej Koziara odszedł 24 maja 2007 roku.

Pozostawił nam dwa ostatnie, nigdzie jeszcze nie publikowane teksty. Ich tematem jest śmierć, umieranie. Jednak nawet do tej ostateczności Andrzej podszedł z właściwym sobie humorem, nawet odrobiną ciepłej ironii. Nawet stojąc w obliczu niewiadomego, usiłował opisać nie własne odczucia, lecz samo zjawisko. Zawsze przedkładał mówienie o innych, nad budowanie pomnika samemu sobie. Tego, co chciał ujawnić, możemy się domyślać śledząc użyte w tekstach cytaty, skojarzenia, czasem poszczególne słowa. W tych ostatnich tekstach nie „zdradził” swej pasji – kultury. Przez filtr ogromnej wiedzy historyka sztuki, namiętnego czytelnika, człowieka ciekawego świata, przepuścił nawet doświadczenie starości, choroby, nieuchronnej śmierci, w której cieniu postawały te teksty. Do końca nie utracił przenikliwości – skojarzeń i myśli tyleż błyskotliwych, co prostych i pełnych humoru. Choć nie wyglądał na tytana, do ostatnich chwil nie poddał się, nie pozwolił sobie na słabość, na użalanie się nad sobą.

Ostatnie wypowiedzi Andrzeja wydają się niezbyt ściśle związane z tematyką Nike. Pozornie. W istocie są to ciągi refleksji nad stosunkiem człowieka do własnego przemijania, do choroby, słabości, a wreszcie śmierci. Każdy z nas doświadcza cierpień, frustracji, rozczarowań. Jednak osoby niepełnosprawne przeżywają to wszystko w zwielokrotniony sposób – niemal nigdy nie mają szansy zapomnieć o własnym ciele, o jego niedoskonałości. Ludzie zdrowi i pełni sił spędzają większą część życia w błogiej nieświadomości, w poczuciu, że choroby i śmierć ich nie dotyczą. Dopiero

starość, stopniowe niedołężnienie, pojawianie się licznych, nieobecnych do tej pory ograniczeń, otwiera im oczy na to, czym osoby niepełnosprawne żyją często od dnia urodzin. Andrzej potrafił to nowe dla siebie doświadczenie nazwać, potrafił z niego żartować – potrafił w nieszczęściu odnaleźć naukę, przyczynek do lepszego rozumienia siebie i świata. I to jest chyba największa wartość i bezdyskusyjna stosowność tych tekstów.

Publikujemy też wspomnienie żony o Andrzeju Koziarze. I krótką wypowiedź Jerzego Binkowskiego (również znanego z łamów *Nike* pedagoga, człowieka kultury). W tych kilku prostych zdaniach zawarte zostały odczucia wielu osób, które znały Andrzeja, ale nie miały nigdy okazji, żeby dłużej porozmawiać, poznać się, może zaprzyjaźnić. Andrzej zawsze był, wszędzie chodził, wszystkim się interesował. Miało się wrażenie, że tak już będzie zawsze. Jednak nasze ludzkie „zawsze" jest bardzo ulotne.

„Śpieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą" pisał ksiądz poeta, Jan Twardowski. Śpieszmy się więc...

Andrzej Wołkowycki

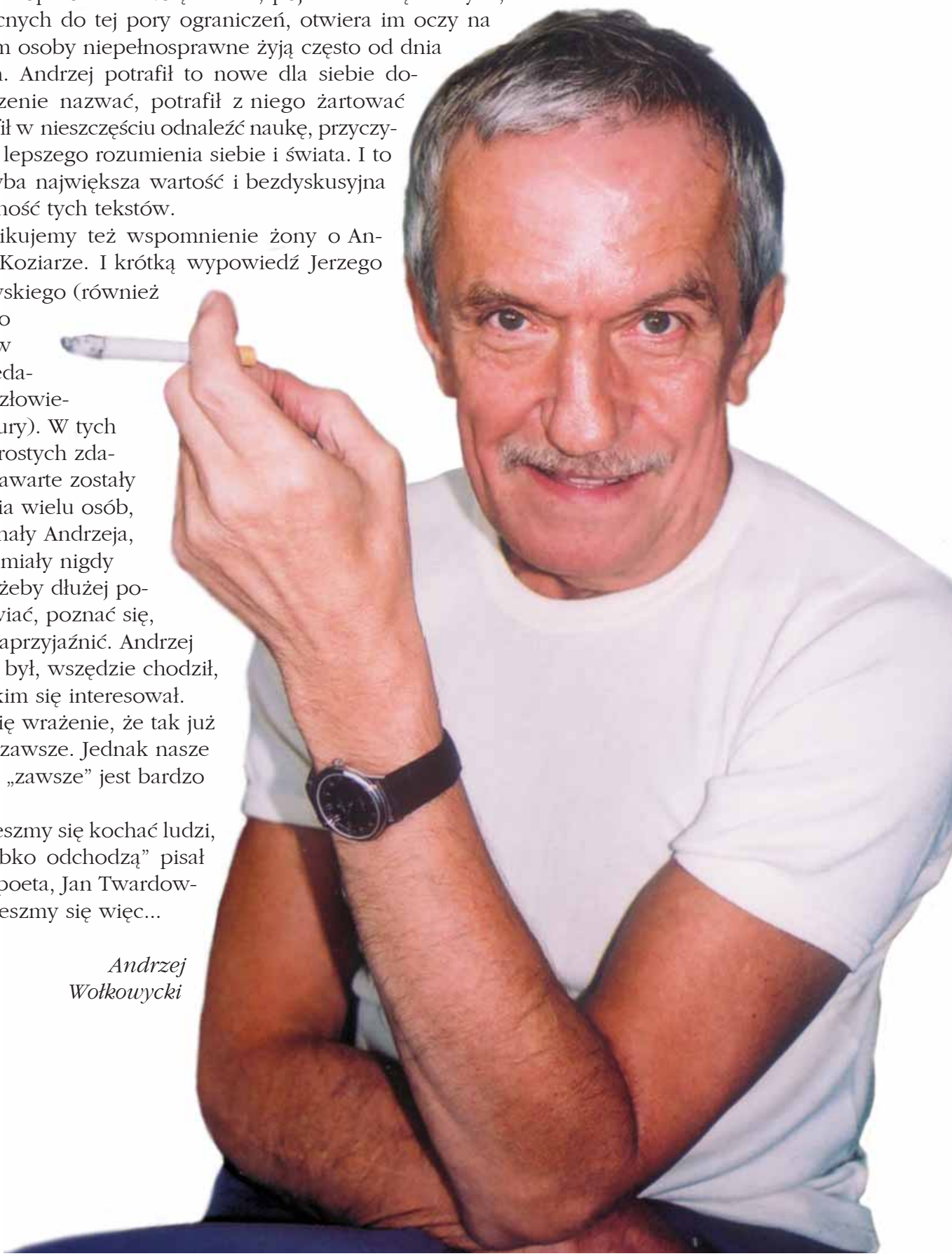

Czekałam, a on zawsze wracał...

Elżbieta Koziara: – Wiele było takich momentów, że czekałam na Andrzeja, kiedy długo nie wracał z pracy. Teraz czekanie straciło sens. Już nie wróci. Kiedy po raz kolejny to sobie uświadamiam, czuję się strasznie. Pozostało mi już tylko chodzić na cmentarz.

Koziorożec Andrzeja, mój Byk i Baran Kasi – wylicza Elżbieta, żona Andrzeja Koziary. – Chciał mi to sam założyć na szyję. Lekarze nie zgadzali się na wypis ze szpitala, więc po prostu wsiadł w taksówkę i przyjechał. To było na pięć dni przed śmiercią. Teraz to dla mnie najważniejsza pamiątka.

Niczego nie przestawiłam w jego pokoju. Nie pozwalał mi porządkować swego biurka, ustawiać książek. Narzekał, że potem niczego nie może znaleźć. Gdyby wrócił... Tęsknię za nim. Córka też. Kasia jest dorosłą kobietą, ma męża, własne życie, a mimo to... Powiedziała mi ostatnio, że ma tyle pytań, których nie zdążyła ojcu zadać.

Wiedział, że ma dar pisania. Wielokrotnie wspominał o tym, że może powinien napisać coś większego. Kiedy zachorował, zdał sobie sprawę, że już nie zdąży. Parę razy przymierzał się do książki, ale ciągle mu coś przeszkadzało, ciągle miał inne zajęcia. Może po prostu był za mało systematyczny. Przed śmiercią żałował, że tak się stało, że nie zostawił po sobie żadnej książki.

Poznaliśmy się w Lublinie...

Na wernisażu wystawy fotografii Lucjana Demidowskiego. Był dużo starszy ode mnie. Zaczęliśmy się spotykać. Jestem jedynaczką. Rodzice nie od razu zaakceptowali Andrzeja. Kiedy urodziła się Kasia, mama przelała na nią wszystkie uczucia. Z czasem wszystko się ułożyło. Kiedy ludzie się kochają, kiedy w związku są prawdziwe emocje, to wszystko można przezwyciężyć, wszystko da się naprawić.

Zawsze byłam przy Andrzeju, żyłam jego pracą. Prowadziłam dom. Rachunki, wypełnianie dokumentów, załatwianie codziennych spraw – to go przerastało. Uwielbiał być wśród ludzi – chodzić do teatru, na wernisaże, do kina. Andrzej był raczej skryty. Nie lubił o sobie mówić. Wolał opowiadać o tym, co

widział, o ludziach, których spotkał. Bardzo lubiłam go słuchać. Uwielbiałam te powroty do domu po wernisażu czy premierze teatralnej, gdy Andrzej wylewał z siebie potoki słów. Innym razem potrafił milczeć, jakby stracił nagle mowę. Na moje pytania, co się stało, odpowiadał: „muszę to sobie przemyśleć". Czasami dowiadywałam się, co myślał dopiero po kilku dniach, gdy dawał mi do przeczytania recenzję. Czytałam wszystkie jego teksty przed drukiem. Niektóre wysyłał też do Kasi. Nie sugerował się opiniami. Ale kiedy coś mi się bardzo nie podobało, to zmieniał. Zawsze miał swoje zdanie i potrafił go bronić. Kiedy Kasia przyjeżdżała do nas, to bywało, że przegadywaliśmy całą noc we trójkę. Dzwoniła do Andrzeja codziennie, a on czekał na jej telefony. W ostatnią Wigilię położyliśmy się spać o dziewiątej rano. Zawsze mieliśmy tyle tematów.

Kiedy zachorował, przeczytał wszystko o swojej chorobie. Ale o raku nie potrafił mówić. Nawet lekarze byli zdziwieni, że jako dziennikarz był taki rozmowny, wylewny, ale o chorobie milczał. O nic nie prosił, na nic się nie skarżył. Wzywał pielęgniarki tylko wtedy, gdy chciał dostać środek przeciwbólowy. Rozmawialiśmy zawsze o wszystkim, ale o jego chorobie milczeliśmy. Nie umieliśmy o tym rozmawiać. Nawet znajomym nie potrafiłam powiedzieć. Andrzej też. Mówił, że nie potrafi się zmusić do wypowiedzenia tych dwóch słów: „Mam raka".

Przyjechaliśmy do Białegostoku...

Byliśmy ze sobą już trzy lata, kiedy pojawiła się propozycja wyjazdu do Białegostoku. Dla mnie to nie była trudna decyzja. Andrzej chciał wyjechać, byłam zakochana. Nie znałam Białegostoku. Przed przyjazdem na stałe, byłam tu tylko raz, tydzień wcześniej. Po Lublinie Białystok wydawał się strasznie dziwny... Po prostu niezbyt ładny. Ale Andrzeja kusiła możliwość sprawdzenia się w zawodzie dziennikarskim. Choć wcześniej pisywał regularnie, to doświadczenie w pracy dziennikarskiej miał niewielkie. Po latach sam żartował ze swoich pierwszych tekstów – śmiał się, były takie mądre, że bez słownika wyrazów obcych nie dało się ich zrozumieć.

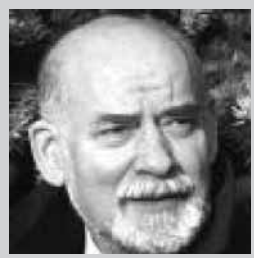

Odbierałem Go w towarzystwie, jako niezwykle dyskretnego, nie narzucającego się, wyczekującego, wręcz wycofującego się. Jednak najbardziej wzruszające było to, że gdziekolwiek Go widziałem, to był w towarzystwie swojej pięknej żony. Najbardziej przeżywam to, że nie zdążyłem mu powiedzieć, iż chciałbym z nim rozmawiać, uczyć się od Niego, że chciałem być bliżej Niego, niż to się potoczyło.
Do najbliższego spotkania, Andrzeju.

Jerzy Binkowski

Przyjechaliśmy do Białegostoku w 1974 roku. Planowaliśmy posiedzieć tu dwa, trzy lata, a potem przenieść się do Gdańska, na wybrzeże. Obiecaliśmy sobie, że co tydzień będziemy jeździć do Warszawy na spektakle, wernisaże. Faktycznie, kilka razy się udało, ale potem życie dopisało własny scenariusz: córka, dom, przyjaciele, normalne życie. Zresztą Andrzej nie miał nigdy takiego parcia, żeby być sławnym, żeby się przebić. Był tutaj, pracował, było mu z tym dobrze. Zostaliśmy.

ANDRZEJ KOZIARA – urodził się w 1941 roku w Pinczowie. Ukończył historię sztuki na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Pracował w Biurze wystaw Artystycznych w Lublinie. Publikował recenzje z wystaw w „Sztandarze Ludu". Na początku lat 70. prowadził w Lublinie Galerię Labirynt (jej działalność zainaugurował wystawą malarstwa Andrzeja Wróblewskiego). W 1974 roku przeniósł się do Białegostoku. Pracował w Gazecie Białostockiej, przekształconej niebawem w Gazetę Współczesną. W 1983 roku był jednym ze współzałożycieli Kuriera Podlaskiego, któremu pozostał wierny do zamknięcia dziennika. Potem współpracował w różnych okresach z TV Białystok (robił m.in. przeglądy prasy współczesnej i dawnej), publikował w lokalnych dziennikach, w pismach branżowych (m.in. w Teatrze Lalek). Zmarł 24 maja 2007 roku.

Żeby tylko nie wstawać rano do pracy

Andrzej mówił, że wybrał sobie zawód dziennikarza, żeby nie musieć wstawać na ósmą do pracy. A potem wstawał o piątej, żeby zdążyć na poranny program w TV Białystok. Pamiętam jak Agnieszka Świdzińska, redaktorka „Gazety w Białymstoku", przekonywała Andrzeja, żeby zajął się czym innym, a nie kulturą, bo tu nic się nie dzieje, nie ma o czym pisać, że nic nie zarobi. Jednak Andrzej został przy swoim i zaczął przynosić dużo tematów. Okazało się, że całkiem sporo się tu dzieje. Przynajmniej on potrafił to dostrzec. Szybko wszedł w miejscowe kręgi artystyczne. Nie zawsze pisał pochlebnie. Mimo to chyba był lubiany. Choć nie był kolekcjonerem, mamy w domu wiele obrazów: Koniczek, Chorociej, Dworakowski, Pilcicki, Sawicki, Parczyński, Jurgielaniec, Lengiewicz, Chaciej. Wszystkie podarowane przez autorów. Bardzo mi było miło, kiedy Krzysiek Koniczek zaprosił mnie do Warszawy na wystawę dedykowaną Andrzejowi. To miłe, że ktoś pamięta...

Andrzej zawsze dużo pisał. Nawet w czasie, gdy na krótko został redaktorem naczelnym „Kuriera Podlaskiego". To było jego życie. Może dlatego w ostatnich latach, po rozpadzie Podlaskiego, czuł się rozgoryczony. To był dla niego trudny okres. Sytuację uratowała współpraca z telewizją. Potem jeszcze krótka współpraca z reaktywowanym Kurierem Podlaskim. Skończyło się wyrokiem sądowym, nakazującym wypłatę zaległych wynagrodzeń, których nigdy nie otrzymał. Ta końcówka była bardzo stresująca.

Mieliśmy wiele nadziei...

Na Sylwestra pojechaliśmy do Warszawy, pod Pałac Kultury. Mieliśmy wiele nadziei, chcieliśmy, żeby ten rok był dobry. Drugiego stycznia Andrzej miał tomografię płuc. Szóstego stycznia trafił do szpitala. Od razu było wiadomo, że to guz. Potem długie diagnozowanie, żeby ustalić, jakiego typu. Niestety, okazało się, że kilka miesięcy za późno trafił na badania. Szybko wszystko poszło. Niektórzy znajomi dowiedzieli się po pogrzebie.

Rok wcześniej miał wylew w oku. Przestał widzieć na jedno oko. Z dnia na dzień. Drugie oko miał bardzo słabe. Dla Andrzeja to była tragedia. Całe życie pisał o rzeczach, które trzeba widzieć, żeby je zrozumieć, ocenić. Nie przestał pisać: powiększał w komputerze czcionkę i pracował. Ale szybko się męczył. Gdy spotykaliśmy znajomych, prosił mnie, żebym mu cicho mówiła, kto do nas podchodzi. On widział już tylko plamy – poznawał ludzi po głosie. Bardzo źle to znosił. Był załamany. Nie wiedział, że nosi w sobie śmiertelną chorobę.

Do końca być sobą

Chyba nie pogodził się z tym, że umrze. Mieliśmy robić remont, rozwalić ścianę, połączyć pokoje. Andrzej w szpitalu rysował plany. Kiedy przychodziłam do szpitala, prosił żeby mu podnieść oparcie łóżka, jak najwyżej, żeby trzymać się prosto, żeby nie położyć się, nie poddać. Chciał do końca być sobą. Być w pionie. Nie chciał się stać warzywem. Kiedy wracał ze szpitala na kilka dni do domu, do późna w nocy siedział przed te-

lewizorem. Zapytałam, dlaczego tak robi, dlaczego się przemęcza. Odpowiedział, że boi się zasnąć, bo czuje, że między jego życiem a śmiercią jest bardzo cienka linia. Do końca był świadomy. Nawet ostatniego dnia. Powiedział, że się boi. Prosił, żebym mówiła do niego, żebym trzymała go za rękę. Zrywał maskę tlenową, chciał do mnie mówić. Nie dowiem się nigdy, co wtedy myślał, co czuł. W pewnym momencie coś się zaczęło dziać. Lekarze stwierdzili, że dłużej nie mogę zostać. Po moim wyjściu z sali Andrzej został podłączony do respiratora, a za parę godzin już nie żył.

Andrzej i Elżbieta Koziarowie

Gdy się człowiek robi starszy, Wszystko w nim po trochu parszy.
(Tadeusz Boy-Żeleński)

Starość nie radość

Józef Zych, były Marszałek Sejmu, zawodowy polityk, o którym można powiedzieć niejedno, ale na pewno nie to, że jest młokosem, któreś ze swoich wystąpień rozpoczął od słów:
– Wysoka Izbo, Panie Marszałku niejednokrotnie staje mi...

...i po przemówieniu. Można dywagować jak bardzo freudowska była to pomyłka, ale tak czy owak jest to przykład anegdoty, której bohaterem jest skądinąd sprawny parlamentarzysta około siedemdziesiątki. Któż z nas nie potrafi przytoczyć podobną historyjkę, opowiedzieć dowcip o panach i paniach, którzy pierwszą, drugą, a nawet trzecią młodość mają już za sobą? Znacie to? No to poczytajcie.

Spotyka się dwóch starszych panów i jeden pyta drugiego

– Wolisz mieć Parkinsona, czy Alzheimera?

– Zdecydowanie Parkinsona.

– Dlaczego?

– Wolę trochę wylać, niż całkiem zapomnieć wypić.

Księżycowy Matuzalem

No cóż, dowcipy o ludziach starszych, zwłaszcza w dobie kultu młodości, zdrowia, urody i sukcesu bywają mniej lub bardziej zabawne – zdecydowanie mniej dla tych starszych. Tymczasem wiadomo, że sprawa jest poważna, bo jak to ktoś powiedział: można się zestarzeć albo umrzeć za młodu – trzeciego wyjścia nie ma. Biologiczny zegar jest nieubłagany – Alzheimer kat czeka niecierpliwie. I tylko harcerze mogą sobie pośpiewać przy ognisku: *Choć lata młode szybko płyną – my nie starzejemy się.*

Starzejemy się, starzejemy – każdy organizm około dwudziestego piątego roku życia osiąga szczyt swoich możliwości i zaczynają się schody dla każdego oddzielnie i w skali globalnej. To proces tyleż nieuchronny co naturalny. Skutek: w 2002 roku w Polsce żyło ponad pięć i pół miliona ludzi po sześćdziesiątce, a w połowie wieku XXI będzie ich 35%. Co za obraz – ponad jedna trzecia obywateli dotkniętych jak nie osteoporozą, to demencją. Przy stanie naszej, stale reformującej się, służby zdrowia, wygląda to na Apokalipsę.

Starzenie się to wzrastająca ilość różnych uszkodzeń wewnątrzkomórkowych, których organizm

nie potrafi naprawić. Efekt jest doskonale znany: zwiotczałe mięśnie, pomarszczona skóra, nie ten wzrok i słuch – za to tzw. „wydłużony czas reakcji" co tylko brzmi litościwie. Na nic zdały się poszukiwania kamienia filozoficznego produkowanego nawet z piany wydobywającej się spod płytkich grobów. Nie pomogą żadne dietycud i tropienie wolnych rodników, na nic aktywizacja jelita grubego i do bólu pozytywne nastawienie do życia, nie pomogą liftingi i fitnesy czy szwajcarska metoda przeszczepu komórek przysadek mózgowych świeżo narodzonych jagniąt – sam diabeł nie pomoże, o czym przekonał się Faust czy nieszczęśnik Cagliostro. Zwłoki pierwszego znaleziono na kupie końskiego łajna; drugi skończył żywot „cudotwórcy" w więzieniu. W dodatku starość jest nieestetyczna i co najgorsze – niemedialna. Rozsądnie zatem byłoby pójść za głosem Biblii, która przekonuje, że starość to dar boży i błogosławieństwo. Byłoby, gdyby nie pewna delikatna sprawa z biblijnym starcem Matuzalemem, który miał żyć 969 lat. Otóż jego wiek policzono najprawdopodobniej w latach księżycowych z czego wynika, że dziadek Noego żył nie 969 lat, a 78. Też nieźle, ale do księgi Guinnessa daleko.

Za uprawianie seksu?

Mimo wszystko są powody do zadowolenia, bo człowiek należy do długowiecznych stworzeń – starzeje się tak samo jak osioł i słoń indyjski. Oczywiście przegrywa z żółwiem, że już o rówieśniczkach egipskich piramid, sekwojach, nie wspomnę, ale i tak ma lepiej niż na przykład jętka jednodniówka, która rodzi się rano, pod wieczór jest stara jak jej własna babka, a z nadejściem nocy umiera.

Biolodzy, niekoniecznie konserwatywni, lubią powtarzać, że starość i śmierć są ceną jaką płacimy za uprawianie seksu. Przekonują, że oddając się czynnościom reprodukcyjnym nie mamy już sił na stałą naprawę, wspomnianych już – uszkodzeń wewnątrzkomórkowych, co mogłoby zapewnić długowieczność, a nawet nieśmiertelność. Wybieramy reprodukcję, wymianę genów i tworzenie coraz to nowych ich kombinacji, co oznacza ewolucję. Bez tego moglibyśmy być Matuzalemami, ale na poziomie szympansa. Perspektywa niezbyt pociągająca i natura mając do wyboru reprodukcję lub nieśmiertelność zawsze wybierze to pierwsze. W tym świetle starość i śmierć jawi się jako altruistyczne samobójstwo. Jeszcze dosadniej mówi o tym Zanussi, reżyser: „Życie to śmiertelna choroba przenoszona drogą płciową".

Z kolei XVII-wieczny pisarz i filozof, François de La Rochefoucauld, zauważył, że mało kto umie być starym. Potwierdzają to współcześni ankieterzy dowodząc, że aż 96% Polaków po prostu boi się starości. Jest się czego bać, bo jak to ktoś zauważył – różne domy pogodnej starości, złotej jesieni etc. to nic innego jak zemsta za żłobki i przedszkola. Jest się czego bać, bo np. na bramie takiego domu pod Łapami napisano ni mniej, ni więcej tylko zdumiewająco przewrotne w tych okolicznościach hasło: PRACA I ROZWÓJ...

Lęki pisarza

O problemach związanych ze starością pisze wprost William Wharton w powieści „Tato":

Może nadszedł czas, żebym się zaczął uczyć, jak być starym człowiekiem.

Muszę się jakoś przygotować do znoszenia własnej słabości, bólu, niesprawności umysłowej, roztargnienia, obniżonej wrażliwości, obniżonej czujności, konserwatyzmu w myśleniu i zwyczajach, nietolerancji – tego wszystkiego, czego zawsze starałem się uniknąć.

Muszę się przygotować na nieuchronne mury, które powoli wyrosną między mną a innymi ludźmi, na akceptację tego, że dzieci coraz mniej mnie będą kochały, aż w końcu – w najlepszym razie – zaczną mnie tylko tolerować. (...)

Muszę przygotować się na śmierć przyjaciół z lat młodości, krewnych, na to, że w moim życiu będzie coraz więcej pogrzebów. Trzeba będzie żyć z tymi, którzy zostali, nawet jeżeli okażą się nudni, nieciekawi. Będę patrzył, jak Joan, Mario – całe moje pokolenie – ulega fizycznej degeneracji.

A wszystko to będzie dotyczyło także mnie. Ja też stanę się zawalidrogą w rozmowach, będę się powtarzał, będę z opóźnieniem łapał sens, będę opacznie rozumiał, zatracę zdolność logicznego budowania wypowiedzi. I sam nie będę tego dostrzegał. Nie będę świadom własnej degrengolady, która pełznąć będzie jak żmija nie stawiając kroków.

Każdego ranka obudzę się o dzień starszy. Zmieni się moja miara czasu. Będzie mi się zdawało, że to świat uległ zmianie, że zmienia się szybciej niż kiedyś, że jest brzydszy, mniej ciekawy, mniej rozsądny – ogólnie rzecz biorąc, nie do przyjęcia. Rzeczy łatwe staną się trudne, a trudne – niewykonalne.

Długowieczne panie

Czytelnik przyzna, że nie jest to obraz ani trochę różowy, ale zawsze jest jakieś „ale" i tak optymiści przywołują życie i przypadki niejakiej Jeanne Calment. Francuzka to najstarsza osoba o udokumentowanej metryce – żyła 122 lata. Osobiście znała Wiktora Hugo i Vincenta van Gogha, a pod koniec żywota nagrała płytę „Pani Czasu" w rytmie muzyki rap i zdążyła zadebiutować jako aktorka w filmie „Jeanne Calment po studwudziestce". Troska o kondycję kazała jej rzucić palenie i zrezygnować z codziennej szklaneczki porto w 117 urodziny, a zmarła w 1997 r.

Druga niezatapialna dama, to słynna babcia Moses, czyli Anna Mary z domu Robertson. Żyła w latach 1860–1961, a więc 101 lat i urodziła dziesięcioro dzieci. Już jako wdowa po farmerze zajmowała się głównie robótkami ręcznymi, co po siedemdziesiątce uniemożliwił jej atak artretyzmu. Wtedy kupiła farbki oraz pędzel i poświęciła się malarstwu i to tak skutecznie, że zyskała światową sławę jako wybitna przedstawicielka prymitywizmu. Jej amerykański biograf z przejęciem odnotuje, że przyjął ją w Białym Domu sam prezydent Stanów Zjednoczonych. W Polsce najstarsza, licząca 113 lat Benedykta Mackieło z Ostródy w woj. warmińsko-mazurskim,

zmarła pierwszego stycznia 2007 roku. Jej osiągnięciem, obok imponującego wieku, był fakt, że w szczęśliwym związku małżeńskim przeżyła lat 80.

Kod Leonarda da Vinci

Na koniec pozwolę sobie posłużyć się przykładem z możliwie „najwyższej półki" – to Leonardo da Vinci. Kiedy ten gigant, człowiek renesansu (cokolwiek by to znaczyć miało) umierał na zamku Cloux nieopodal Amboise we Francji miał 67 lat i do końca nie stracił nic ze swojej elegancji, dowcipu czy poczucia humoru we wszystkim co robił, a robił wiele. Był malarzem – namalował najsławniejszy portret kobiety, czyli „Monę Lisę", która już dawno przestała być obrazem, żeby przejść na pozycję supermitu wszechczasów. Rzeźbił, pasjonował się inżynierią wojskową i architekturą, a jak był w nastroju, to projektował kostiumy na różne festyny. Do końca interesował się naukami przyrodniczymi, anatomią, matematyką, techniką i nawet jeśli nie figuruje w oficjalnym rejestrze zawodowych filozofów, to był wielkim myślicielem, daleko wybiegającym poza swoją epokę. Dość powiedzieć, że 67-latkowi nie przeszkadzało równocześnie projektować maszynę do bicia monet i wykonać ok. 30 sekcji zwłok – wszystko nielegalnie. I jeszcze zostawił nam słynny KOD, który rozpala wyobraźnię współczesnych.

Andrzej S. Koziara

„Zuzanna i starcy" – obraz Jacopo Tintoretto (właśc. Jacopo Robusti, 1518–1594), włoskiego malarza, czołowego przedsatwiciela tzw. weneckiego manieryzmu

Drzeworyty Hansa Holbeina (1497-1543) z liczącego kilkadziesiąt prac cyklu „Danse Macabre" („Taniec śmierci")

Wiadomość o mojej śmierci była przesadą.
(Mark Twain)

Oswajanie śmierci

Nic nie jest tak pewne jak śmierć, no może podatki... Istniejemy – mawiał marszałek La Palice – bez tego nie groziłaby nam śmierć. Jeżeli nie jesteśmy martwi – dodawał Christian Chabanis – jesteśmy w każdym razie śmiertelni. Ktoś inny sformułował to tak: „Ta straszna rzecz zwana trupem jest w nas obecna już dziś". Porzekadło zaś załatwia sprawę z ludową dosadnością: Jako chcesz, tak się wierć, wszędy cię dopadnie śmierć – koniec kropka. Dotyczy to wszystkich, bo statystycznie na jednego człowieka wypada jedna śmierć.

Poczuciu nieuchronności towarzyszy lęk i nic dziwnego, że człowiek próbując choć trochę oswoić śmierć, zawsze dążył do jej zrytualizowania. Zawsze, to znaczy mniej więcej od 60 tysięcy lat, czyli od czasów neandertalczyka. Wiele – słusznie i nie – można przypisać stworzeniu o dużej, ale słabo wysklepionej puszce mózgowej, można go nawet posądzić o to, że był naszym praprzodkiem, ale na pytanie czy neandertalczyk oswajał śmierć, potrafimy odpowiedzieć twierdząco. Wiedzę tę zdobył dla nas m.in. profesor archeologii Uniwersytetu Michigan, Ralph Solecki, a zdobył ją zapuszczając się w głąb jaskini Shanidar w górach Zagros w Iraku, gdzie był grubo przed Saddamem Husajnem, że już o żołnierzach Buscha nie wspomnę.

Jednym z najciekawszych grobów, do jakich dokopał się Solecki, był grób dorosłego mężczyzny pochowanego w pozycji embrionalnej wraz z dwoma kobietami i dzieckiem. Nie wiadomo czy „osoby towarzyszące" znalazły się tam z własnej woli czy też wręcz odwrotnie, ale wszystko wskazuje na to, że były częścią ceremonii pogrzebu i zostały złożone w ofierze. Z mikroanalizy próbek ziemi pobranej z grobu, archeolog dowiedział się też, że są w niej pyłki krwawnika pospolitego, ostu, hiacyntów, żółto kwitnących krzyżowników, skrzypu, rozmaitych bławatków i malwy. Kwiatów na tym pogrzebie musiało być tyle, ile dziś widuje się tylko na pogrzebach bossów mafii. Same nie mogły dotrzeć w takiej ilości na dno jaskini – złożono je oddając hołd zmarłemu. Po paleolitycznym pogrzebie żałobnicy udali się na paleolityczną stypę, o czym przekonują ogryzione kości zwierzęce znalezione nieopodal.

Jest taka anegdota:

Anglik i Chińczyk udali się na cmentarz, by odwiedzić groby swoich bliskich zmarłych – Anglik z kwiatami, Chińczyk z jedzeniem.

– Kiedy twoi zmarli przychodzą to wszystko zjeść? – pyta Anglik.

– Wtedy, kiedy twoi przychodzą wąchać kwiaty – odpowiada Chińczyk.

O kwiatach na grobach – poważnie – mówi też egiptolog, Howard Carter. Kiedy po raz pierwszy podniósł wieko sarkofagu Tutenchamona znalazł resztki małego wianka, zapisał wówczas: „Wśród całego królewskiego splendoru, wspaniałości i przepychu – złota połyskującego ze wszystkich stron – najpiękniejsze były te splecione kwiatki, które nadal zachowały ślad barwy. Powiedziały nam, jak krótki w rzeczywistości jest okres trzech tysięcy lat – to zaledwie wczoraj i dziś".

Mały wianek kwiatów – zapewne pożegnalny gest młodej wdowy – w zetknięciu z ogromem piramidy, to było coś, ale pochówek faraona miał też inną, zdecydowanie mniej sentymentalną strefę rytuału – balsamowanie. Zaczynano zwykle od usunięcia mózgu poprzez kanały nosowe lub wyłuszczone oczy. Potem wyjmowano wnętrzności zostawiając serce i dopiero tak wypatroszony faraon mógł być poddany właściwej mumifikacji, czyli wypychaniu i soleniu co uwalniało go od trzech czwartych wody. Istnieje na ten temat literatura ze wszech miar fachowa, a szczegóły bywają fascynujące. Na przykład oczy robiono z kulek tkaniny, malowanych cebulek lub z drogich kamieni.

Już Herodot zwrócił uwagę na fakt, że balsamowanie nie było równe balsamowaniu. I tak średnio zamożnemu nieboszczykowi za średnie pieniądze usuwano wnętrzności wstrzykując przez odbyt płyn powodujący ich rozkład, a najbiedniejsi w ogóle nie mogli marzyć nawet o tym – musieli zadowolić się po prostu obmyciem ciała. Miasto Umarłych na zachodnim brzegu Nilu, to było miasto kapłanów, fachowców od olejków i żywic, nacinaczy zwłok, speców od peklowania i płukania wnętrzności, wysoko kwalifikowanych zwijaczy opasek i zwykłych nosicieli wody. Miasto Umarłych nie mogło się też obyć bez ludzi dbających o zaopatrzenie, a także skrybów i administratorów naprawdę dużego biznesu.

Egipcjanie stworzyli największe grobowce świata – piramidy, na których tle nawet Napoleon wydaje się być trochę mniejszy. Oni też sztukę balsamowania doprowadzili do perfekcji, ale nie mają na to wyłączności. Luis-Vincent Thomas, autor książki pt. „Trup", pisze o zwyczaju Indian Jivaro z Amazonii, którzy głowy wrogów poddają gotowaniu, przypalaniu żelazem i masowaniu gorącym piaskiem tak długo, aż osiągną rozmiar pięści, po czym noszą je jak naszyjniki.

Inaczej zupełnie obchodzono się w Ameryce ze „swoimi" zmarłymi. Hiszpański konkwistador Garcilaso de la Vega zostawił nam opis królewskich mumii Inków: „Ciała były w tak dobrym stanie, że nie brakowało ani włosów, ani brwi, ani rzęs. Nieboszczycy mieli na sobie ubrania, jakie nosili za życia". Inkowie z Peru mumifiko-

Jeden z obrazów Zdzisława Beksińskiego, słynnego polskiego malarza, zamordowanego 22 lutego 2005 roku. Śmierć, umieranie, rozpad były stałymi tematami jego malarstwa. Osiągnął mistrzostwo w ukazywaniu deformacji ludzkiego ciała, niszczonego przez życie, upływ czasu, cywilizację. Poprzez degradację materii ukazywał zwyrodnienia psychiki ludzkiej, lęki, fobie, mroczne instynkty.

wali całe rodziny królewskie pozostawiając je w pałacu ze służbą jak najbardziej żywą. Świetnie zakonserwowanej rodzinie nie tylko regularnie przynoszono posiłki, ale prano jej odzież, odpędzano muchy i wyprowadzano do toalety. Obiad „na tamtym świecie" nie był zresztą przywilejem wyłącznie królewskim, bo wśród najstarszych zabytków piśmiennictwa Mezopotamii zachowały się wykazy miesięcznych przydziałów chleba i piwa dla dusz obywateli klas niższych. W archaicznych grobach greckich odkryto też dyskretnie zainstalowane rurki, które ani chybi pozwalały zmarłemu na łyk wina.

Wiadomo, że konserwacja zwłok nie jest ani wynalazkiem, ani wyłączną własnością Egipcjan. Wysuszanie przez ogień lub słońce praktykowano w Tybecie, Nowej Gwinei i Australii. Odymianie zwłok stosowano w Indonezji, a wdowa na wyspie Sachalin miała obowiązek nie dopuścić do gnicia zmarłego małżonka przez okrągły rok i to pod groźbą kary śmierci.

Współczesne techniki, zwane tanatopraksją, nawiązują do pomysłu Jeana-Nicolasa Gannala, który już w 1880 r. założył w USA szkołę konserwacji zwłok. Mówiąc w skrócie metoda, zwana IFT, polega na tętnicztym wstrzyknięciu mniej więcej 10 litrów płynu konserwującego oraz na czyszczeniu płuc i jamy brzusznej. Oszczędzę czytelnikowi szczegółów, po których następują czynności, które Thomas nazwał próbą uczynienia z trupa sobowtóra człowieka żywego. Taka „gra umarłego w żywego". Mateusz Kanabrodzki, autor książki pod znamiennym tytułem „Kapłan i fryzjer", pisze o masażu twarzy, uszu, rąk i nóg, wypychaniu policzków watą, dyskretnym zszywaniu warg nicią chirurgiczną, wkładaniu pod powieki „muszelek" zapobiegających zapadaniu się oczu. Reszty dopełnia mniej lub bardziej intensywny – ukochany w Ameryce – makijaż. Ktoś nazwał to „funeralnymi gabinetami odnowy biologicznej", swoistymi salonami piękności. „Zdejmujemy cierpienie z twarzy – usługa kosztuje 500 zł", zanotował Krzysztof Varga. Szydercy proponują reklamowy slogan: „Umierajcie, my zajmiemy się resztą".

Nie obywa się oczywiście bez momentów groteskowych takich jak ta z filmiku „Zakopana Betty". Starsza pani wielbiąca serial „Star Trek" kazała się upozować po śmierci na członkinię załogi kosmicznego statku Enterprise. W efekcie krewni i żałobnicy zobaczyli w trumnie figurę w kombinezonie astronauty, z twarzą o charakterystycznym makijażu i z wielkimi uszami elfa. Trumna miała, rzecz jasna, kształt kosmicznej rakiety, a grabarzami były seksowne hostessy w strojach jak z „Barbarelli". Wszystko za niemałe pieniądze. W USA przemysł funeralny, to cztery miliardy dolarów dochodu rocznie.

I nie tylko dla Jeana Baudrillarda jest to rażące i bezwstydne pozorowanie życia i propozycja „śmierci wysterylizowanej" za pieniadze. Autor ten twierdzi, że „nadawanie zmarłemu pozoru życia: zmarły uśmiecha się do nas nadal, ma tą samą barwę skóry... wygląda jakby był poza śmiercią" w ogóle jest nie do przyjęcia. Natychmiast jednak odpowiada mu

autor wspomnianego wcześniej „Trupa": „Kto może dać się złapać na ten wybieg, ulec mu do tego stopnia, żeby nie rozpoznać oczywistych oznak, jakimi są stężenie, zimno i niemota nieboszczyka?".

Uczone spory to jedno, ale pieniądze z tego są na tyle duże, że towarzyszy im przestępcza patologia tzw. „łowców skór". Nie o co innego, tylko o kasę chodzi też w przypadku dr Gunthera von Hagena z Heidelbergu, uprawiającego tzw. plastycyzację ciał zmarłych. Niemiecki anatom wyciągnął wnioski z faktu, że tanatopraksja może być postrzegana jako praktyki z pogranicza medycyny i sztuki np. rzeźby, ale również malarstwa, a nawet teatru. Metoda Hagena polega na usunięciu z trupa wszelkich substancji płynnych i zastąpienie ich plastikiem oraz zatopieniu całości w bryłach lub płytach epoksydu, czyli utwardzających żywicach. Tak spreparowane zwłoki lub ich fragmenty czy plastry są sterylnie czyste i praktycznie nierozkładalne – mogą przetrwać i sto tysięcy lat.

Nie byłoby w tym nic zdrożnego gdyby Hagen robił to dla nauki. Skandal, niesmak, groza, wreszcie procesy sądowe wynikają z faktu, że Niemiec traktuje tak spreparowane zwłoki jako eksponaty i pobiera 20 dolarów za wejście na wystawę w Ameryce, natomiast w Niemczech dorośli płacą 22 marki, studenci – 16, a uczniowie – 10. W kolejce stoi się co najmniej godzinę, w weekendy jeszcze dłużej. Trzeba przyznać, że anatom na brak frekwencji nie może narzekać. Tłumy oglądają np. odartego ze skóry trupa w „romantycznej" pozie z własną skórą zarzucona na ramię niczym peleryna albo przekrój kobiecego ciała w zaawansowanej ciąży z pełnym przekrojem łona, w którym widać jak na dłoni martwy i profesjonalnie zakonserwowany płód tuż obok trupa figlującego na deskorolce. W dodatku nie są to ciała anonimowe, lecz znane z nazwiska i adresu, pod którym kiedyś ci ludzie mieszkali.

Ekspozycje cieszą się takim powodzeniem, że z głośnej wystawy 200 trupów pt. Body Worlds 2 w California Science Center ukradziono jeden „eksponat". Czego ludzie szukają w tym wyjątkowo makabrycznym panopticum? Antropolog kultury napisze: „Wystawa Świat ciała teoretycznie odwołuje się do takich potrzeb ludzkich jak chęć poznania świata i samego siebie, a jednocześnie podminowuje i dezawuuje tę potrzebę". Mówiąc bez owijania w bawełnę, Hagen wykorzystując naturalną potrzebę poznania, uprawia coś, z czym niegdysiejsze atrakcje jarmarczne w rodzaju prezentacji kobiety z brodą były dziecinną igraszką. Powołując się jeszcze raz na antropologa: „wywołuje niezdrowy dreszczyk emocji i gawiedzi". No cóż, wynika z tego, że gawiedzi jest więcej niż można było podejrzewać, i to pod każdą szerokością geograficzną, w każdej, mniej czy bardziej rozwiniętej cywilizacji.

55-letni dziś Niemiec nie uprawia plastycyzacji od wczoraj, bo pierwsze eksperymenty ze zwłokami robił już w latach 70. Ma też swój epizod polski: w Sieniawie Żarskiej jego sp. z o.o. Plastination Company, wykupując ziemię i budynki, miała zamiar preparować ludzkie, a także zwierzęce zwłoki,

Andrzej Wróblewski (1927–1957)
„Rozstrzelanie V" i „Rozstrzelany"

Jeden z tzw. plastynatów, czyli rzeźb wykonanych przez odpowiednie preparowanie, zabarwianie i mumifikację ludzkich zwłok. Metodę opracował Gunter von Hagen, nazywany przez prasę brukową „drugim doktorem Mengele"

przy czym Hagen obiecywał zatrudnić 300 osób. Dla miasteczka liczącego niewiele ponad tysiąc mieszkańców doświadczonych bezrobociem, była i jest to oferta nie do odrzucenia. Przy okazji wyszło na jaw, że ojciec anatoma, który reprezentował interesy syna w Polsce, to były esesman, o czym poinformował opinię światową „Der Spiegiel". Nie trzeba chyba komentować jakie to wywołało skojarzenia.

Gunther von Hagen nie kradnie zwłok nocą na cmentarzu – ma dobrowolnych, a nawet chętnych dawców. Podobno potencjalnych „rzeźb" Hagena – jeszcze żywych – chodzi w tej chwili po świecie w liczbie nie mniejszej niż sześć tysięcy. Ludzie ci gotowi są zapłacić nawet spore pieniądze za to tylko, żeby ich po śmierci „splastycyzować" i pokazać na wystawie. Natomiast rosyjska telewizja NTV ujawniła, że z Nowosybirska wysłano nielegalnie na adres niemieckiego anatoma 56 „ludzkich korpusów" i 400 preparatów z ludzkich mózgów. Były to zwłoki i mózgi więźniów, ludzi bezdomnych, samotnych i starych.

Niemiecki anatom nie był pierwszym, który preparował zwłoki niekoniecznie dla celów naukowych. Już na przełomie XVIII i XIX w. malarz francuskiego rokoka, Jean Honore Fragonard, ceniony za świeżość i harmonię, zmumifikował ciało własnej kochanki i posadził ją na równie zmumifikowanym koniu, ale von Hagen przypomina jednak bardziej Hannibala Lectera z „Milczenia owiec" niż zwariowanego artystę.

Śmierć fascynowała zresztą artystów prawdziwych, nie odbiegających zbyt wyraźnie od ogólnie przyjętych norm. Śmierci pełno jest w gotyku, choćby w charakterystycznych dance macabre, barok nazywa się też cywilizacją śmierci, romantyzm wręcz lubił krajobraz ruin i zimowy pejzaż okryty „białym całunem". Jeden z najbardziej znanych obrazów El Greca to „Pogrzeb hrabiego Orgaza", Courbet namalował „Pogrzeb w Ornans", Bruegel – „Triumf śmierci". O szwajcarskim malarzu z końca XIX w., Arnoldzie Bocklinie, historyk sztuki napisze, że „Pojednawczą ideę śmierci jako przyjaciela maluje w obrazie Altana: nie widać tu kostuchy, ale para starców pod łukiem altany, jakby u furty na tamten świat, uosabia spokojne chylenie się życia ku końcowi". Dla Muncha śmierć jest wręcz podstawowym doświadczeniem, belgijski malarz James Ensor maluje „Szkielety grające w bilard", „Dolinę zmarłych", „Maski i śmierć", żeby wymienić te najsławniejsze obrazy prekursora ekspresjonizmu. „Taniec śmierci" maluje Hans Holbein Młodszy. W Polsce Jacek Malczewski maluje cykl „Zatrutych studzien", „Śmierć Ellenai" i płótno, na którym młoda dziewczyna z kosą zamyka oczy starcowi.

Również literatura i muzyka nie stronią od tematu, a najsławniejsze dzieła to rzeczy tej miary co „Śmierć w Wenecji" Tomasza Manna i jakże odległy w czasie „Dialog mistrza Polikarpa": „Uźrzał człowieka nagiego / przyrodzenia niewieściego...". Poemat Dantego to zsumowanie wszystkich średniowiecznych wyobrażeń o tym co po śmierci, Hamlet mówi, że śmierć to „nieznany kraj, z którego

jeszcze nikt nie wrócił", Flaubert pisze o swojej kurtyzanie: „pachniała śmiercią i różami", a Strindberg tworzy dramat o małżeńskiej parze połączonej więzami miłości i nienawiści tak, że rozszarpują się nawzajem. Ostatnio, po powodzeniu książki Alice Sebold „Nostalgia anioła", bestsellerem w iście amerykański stylu jest powieść Mitcha Alboma „Pięć osób, które spotykamy w niebie" – sprzedano już sześć milionów egzemplarzy w 48 krajach. Parę lat temu wydarzeniem była premiera „Apetytu na śmierć" Agnieszki Osieckiej w sopockim Teatrze Atelier z muzyką Satanowskiego i Gintrowskiego. Fascynacja śmiercią dotyka autorów na różnych piętrach, i tak Schubert skomponował pieśń „Śmierć i dziewczyna", a Strauss „Śmierć i wyzwolenie". Dies irae brzmi w utworach Verdiego, Liszta i Berlioza.

Niepojętym dla Europejczyka fortelem mającym obłaskawić śmierć są praktyki cmentarne uprawiane w Meksyku. Istnieje tam rzemiosło, a nawet przemysł cały zaangażowany ni mniej, ni więcej tylko w „słodycz śmierci". Przed cmentarzami sprzedaje się dzieciom i dorosłym czaszki, kości i całe ciała nieboszczyków zrobione z kolorowego cukru. Andrzej Banach w książce „O kiczu" napisał, że „można sobie wybrać i zjeść na miejscu kolorowe oko z marcepanu, wycięte przez sklepikarza z oczodołu".

Specjalnym sposobem – powiedzmy na odwrót – było oswajanie śmierci poprzez mnożenie upiornych historii. Pierwszeństwo należy się tu „klątwie faraona". Historia zaczyna się od moskita, który ukąsił lorda Carnarvona, w wyniku czego lord zmarł. Po lordzie były dalsze ofiary „zemsty Tutenchamona"; druga, trzecia... dziewiętnasta. Przy okazji tej ostatniej dziennikarz donosił, że „siedemdziesięcioośmioletni lord Westbury skoczył przez okno swego położonego na siódmym piętrze mieszkania ponosząc śmierć na miejscu. Syna lorda Westbury, który swego czasu jako sekretarz archeologa Cartera brał udział w odkopaniu grobu Tutenchamona, w listopadzie ubiegłego roku znaleziono martwego w jego mieszkaniu, chociaż poprzedniego wieczora udając się na spoczynek był najzupełniej zdrów". Kiedy Archibald Douglas Reid padł martwy w chwili, kiedy chciał prześwietlić Roentgenem jakąś mumię, dziennikarz mógł napisać, że „dreszcz grozy przechodzi przez Anglię". Następny był egiptolog Artur Weigall, po nim Mace, który wspólnie z Carterem otworzył komorę grobową faraona. Wreszcie umiera – „popełniając samobójstwo w stanie nagłego przypływu obłędu" – przyrodni brat lorda Carnarvona – Aubrey Herbert, a po nim oddaje ducha – „od ukąszenia jakiegoś owada" – lady Carnarvon. W 1930 r. spośród wszystkich osób, które były przy otwarciu grobu faraona, żyje już tylko sam Carter. Do czasu wszakże, bo jeden z wariantów klątwy brzmi tak: „śmierć na prędkich skrzydłach dosięgnie tego, kto zakłóci spokój faraona".

To była historia egipskiego króla z angielskimi lordami w tle. Nasze rodzime opowieści ludu mają swoje zmory, upiory, południce i nocnice, swoich topielców, swoje demony, strzygi i strzygonie,

Lord George Carnarvon, sponsor poszukiwań grobowca Tutenchamona. Epokowego odkrycia dokonano w 1922 roku. Wieść o nim szybko obiegła świat i w efekcie Dolina Królów zaroiła się od gapiów i żądnych sensacji dziennikarzy. Było ich tak wielu, że Carnarvon i prowadzący poszukiwania archeolog Howard Carter postanowili przekazywać informacje tylko jednej gazecie – londyńskiemu „Times'owi". Pozostali korespondenci byli wściekli, za wszelką cenę starali się dostarczyć jakiś cenny materiał. Kiedy w niespełna rok po odkryciu, dokładnie w kwietniu 1923 roku zmarł Lord Carnarvon, niemal natychmiast jego śmierć powiązano z rzekomą „klątwą faraonów". Prawdziwą przyczyną zgonu lorda było zakażenie powstałe na skutek... zacięcia się brzytwą przy goleniu.

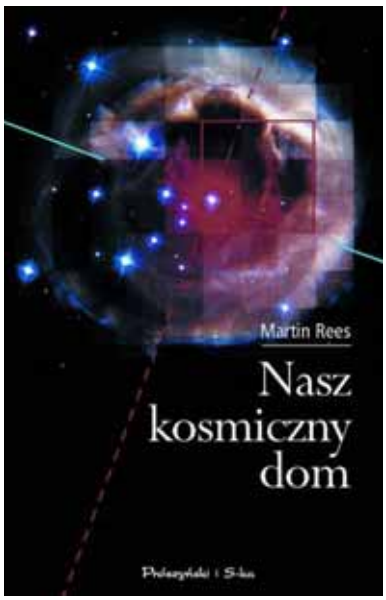

Okładka książki Martina Reesa zatytułowanej „Nasz kosmiczny dom". Autor opowiada w niej o powstaniu i ewolucji Wszechświata, interpretuje nowatorsko ustalenia współczesnej kosmologii, omawia najnowsze, sensacyjne odkrycia, np. dowody na istnienie w kosmosie tzw. ciemnej energii

wilkołaki, latawce i rusałki – i to niekoniecznie pojawiające się tylko w bajaniach w długie zimowe wieczory, kiedy nie było jeszcze telenoweli „M jak miłość". Niezastąpiony ks. Benedykt Chmielowski przekonywał czytelników, iż upiory „biorą trupy ludzi umarłych z grobu i z nimi jako nadgniłymi, smrodliwymi, zarażają to ludzi, to konie, to bydło, to wieprze, gęsi, kury etc.".

Wyobraźnię księdza Chmielowskiego poruszała zagłada wieprzy i gęsi. Co innego Sir Martin Rees – profesor kosmologii i astrofizyki w Cambridge – jego fascynuje wizja totalnej zagłady całej Ziemi. W książce pod wymownym tytułem „Nasze ostatnie stulecie", profesor daje nam najwyżej 50 proc. szans na przeżycie XXI w. Co nas zniszczy? Menu jest urozmaicone: może to być zmiana klimatu, obumieranie komórek – w końcu każdy gatunek ma swój „zegar ewolucyjny" – wirusowa pandemia, terroryści, wojna nuklearna wywołana np. przez mało odpowiedzialnych generałów Korei Północnej albo uderzenie meteorytu o średnicy co najmniej 1,5 km... Iskierka nadziei w tym, że człowiek ma jednak zdolności adaptacyjne równe karaluchom. Pociecha niewielka, ale zawsze coś.

Marzenie o przetrwaniu przebija również w takich przypadkach jak doskonale zachowane ciało św. Cecylii, zamordowanej zresztą w sposób tyleż okrutny, co nieudolny, bo kat sprzed bez mała dziewięciu wieków nie umiał ściąć jej głowy do końca i święta zmarła dopiero po trzech dniach agonii. Podobnie jest z ciałem zamordowanego w 1657 r. przez Kozaków Andrzeja Boboli i zmarłej w XIX w. św. Bernadetty – ciała ich nie tylko nie zgniły, ale zachowują elastyczność, żywy kolor skóry i przyjemny zapach. Dla jednych to cud boski, dla drugich proces zmydlania się tkanki czyli chemia. Zwolennicy tej drugiej opcji powołują się na przykład Christiana Kahlbutza, członka zakonu krzyżackiego, znanego z okrucieństwa i rozpustnego życia – miał przynajmniej trzydzieścioro dzieci z nieprawego łoża, a i zamordować potrafił. Czy zasłużył na cud boży?

Nie wszystkich przecież satysfakcjonuje zmydlanie się czy świadomość, że człowiek ma zdolność przystosowania się jak karaluch. Są ludzie, którym nie wystarcza samo oswajanie śmierci – chcą ją przezwyciężyć i to w sposób zarezerwowany dla Boga – chcą zmartwychwstać. Ich nadzieją jest kriogenizacja, czyli zamrożenie zwłok. Amerykański profesor C. W. Ettinger już w latach 60. napisał w książce pt. „Czy człowiek jest nieśmiertelny?", że jeśli natychmiast po śmierci klinicznej zahamuje się rozpad komórek, to pewnego dnia będzie można reanimować ciało i wyleczyć je z wszelkich dolegliwości włącznie ze starością. Specjaliści od kriogenizacji zaproponowali nawet konkretną datę odmrożenia – rok 2100. Jeśli się uda, to do świata żywych powróci na przykład zamrożony w 1996 roku Walt Disney.

Zamrażanie zaczyna się od mózgu, którego temperaturę obniża się do 15 stopni. Kiedy temperatura ciała, chłodzonego przy pomocy lodu i soli, spadnie do –20, lód zastępuje się zespolonym

dwutlenkiem węgla. Temperatura spada do –79. Ciało pakuje się wówczas do plastikowego worka wzmocnionego kilkoma warstwami aluminium i szklanego włókna, który zanurza się w kapsule z ciekłym azotem o temperaturze –196. Dla większej pewności azot zastępuje się czasem płynnym helem, którego temperatura wynosi już –273 stopnie, a więc blisko zera absolutnego. Zabieg kosztuje prawie osiem tysięcy dolarów plus 2500 dol. rocznie za utrzymanie kapsuły, bo np. azot musi być wymieniany. Szansa na przebudzenie jest znikoma, choć amerykańskim, japońskim i rosyjskim (wówczas jeszcze radzieckim) uczonym udało się przywrócić do życia – po stosunkowo krótkim okresie zamrożenia – gryzonie, takie jak szczury, myszy i chomiki.

Ludziom nie wierzącym w niskie temperatury pozostaje wiara w reinkarnację. Goethe mówił, że „Dusza ludzka jest jak woda; spada z nieba i do nieba wzlatuje, i znów spada na ziemię". Podobno jedna czwarta Europejczyków wierzy w wędrówkę dusz, i jest ich coraz więcej. Sprzyja temu New Age, najmodniejszy i najbardziej powszechny ruch umysłowy zapoczątkowany w końcu XX wieku, a charakteryzujący się m.in. ożywieniem gnostycyzmu i mistyki. Korzenie wiary w reinkarnację tkwią w hinduizmie i buddyzmie. Dziś Międzynarodowe Towarzystwo Świadomości Kryszny liczy sobie ponad 300 świątyń, gospodarstw rolnych, szkół oraz innych instytucji, a liczbę jego członków, mieszkających poza ośrodkami, szacuje się na miliony. Źródłem ich wiary są przede wszystkim pisma starożytnych Indii zwane Wedami.

W Polsce wyznawcy Kryszny pojawili się już w latach 70., a oficjalnie zarejestrowali się w 1988 r. Mają około 12 tysięcy członków, a stu z nich mieszka w czterech świątyniach w Warszawie, Krakowie, Wrocławiu i Czarnowie. W Sudetach, niedaleko Kamiennej Góry, mają też ekologiczne gospodarstwo rolne. Wszyscy nie jedzą mięsa, niektórzy wierzą, że szamani przekonywujący, iż pamiętają swoje poprzednie wcielenia, byli nawet przy stworzeniu świata.

Wierzący w reinkarnację wyliczyli, że jest dokładnie 8.400.000 gatunków życia, w które można się wcielić. Twierdzą też, że dusza w ciele np. psa musi zachowywać się jak pies, że tych, którzy zabijają zwierzęta sprawiając im ból – jak zawodowo robią to rzeźnicy – oczekuje taki sam los w życiu następnym, a szczególnie okrutnych – nawet w wielu przyszłych wcieleniach. Powołują się na hipnozę, w której ludzie przypominają sobie kim kiedyś byli, na wstrząsy i urazy, po których ludzie np. zaczynają mówić w językach, których na pewno nie nauczyli się w trakcie aktualnego wcielenia lub na tzw. pamięć spontaniczną – zdarza się bowiem, że dzieci opowiadają jak kiedyś miały na imię i jak umarły, żeby urodzić się na nowo.

Jeśli nie ciekły azot i nie wędrówka dusz, to już tylko wiara w nieśmiertelność duszy. Wanda Prątnicka, terapeuta i egzorcysta, powiada, że duch „dalej posiada ciało energetyczne, pomimo, że ciało fizyczne jest zakopane w ziemi". Mało tego, pani od ćwierć wieku zajmująca się duchami,

Raymond Moody stworzył ponadczasowy bestseller „Życie po życiu". Zbadał ponad sto przypadków osób, które przeżyły śmierć kliniczną. Książka składa się z relacji tych, którzy byli „po tamtej stronie" i wrócili. Zdaniem autora jest to dowód na istnienie życia po śmierci fizycznej.

przekonuje, że duch widzi, słyszy, czuje ciepło, zimno, głód, pragnienie... i jest szczęśliwy, bo doszedł do ŚWIATŁA. Choć nie wszystkie dusze tak mają. Są dusze np. zbrodniarzy, pijaków i samobójców zawieszone między Ziemią i Niebem. To dusze zbłąkane, nieszczęśliwe i złe, a w dodatku zwyczajnie smrodliwe, bo egzorcystka zupełnie serio pisze: „duch często cuchnie i zostawia w domu odór". Niedowiarkom tłumaczy obrazowo: „Nigdy nie umierasz (...) To co nazywamy śmiercią jest tylko porzuceniem naszego fizycznego ciała, to tak jakbyś zdjął ubranie...". Leczy zarówno depresje, jak i opętanie przez złe duchy – najchętniej przez telefon. I leczy z 95 procentową skutecznością. Dowodzi, że co dwunasty człowiek jest opętany, że duchy są „wszechobecne jak bakterie i wirusy". Udziela wywiadów w telewizji, radiu i prasie. Ma dobrze zorganizowane biuro, bierze udział w targach ezoterycznych, twierdzi, że „Prowadzi mnie Bóg, Wyższa Siła i Inteligencja" po czym chwali się jak przegnała ducha 82-letnigo dziadka, który po śmieci co noc zjawiał się w łóżku 76-letnie wdowy i ją gwałcił.

„Namacalnym dowodem" na istnienie duchów są różne miejsca regularnie przez nie nawiedzane. Jest tych miejsc tyle, że sam ich spis to osobna publikacja. W sezonie wakacyjnym opowieści o miejscach takich powracają w mediach z regularnością szwajcarskiego zegarka. Przed kilkoma dniami TVP w serialu pod adekwatnym tytułem „Nie do wiary" wyemitowała kolejne przypomnienie australijskiego miasteczka Picton. Straszy tam duch naczelnika poczty, który zapił się na śmierć, dokucza duch dziewczyny przejechanej w kolejowym tunelu, brewerie wyprawia duch kobiety, która otruła się spalinami we własnym garażu, mieszkańców nękają sny przepowiadające śmierć kogoś bliskiego, stale kogoś dotyka „trupio zimna ręka", dzieci budzą się z krzykiem, dorośli nie śpią wcale... Rzeczy mają się jak w piosence Agnieszki Osieckiej:

Życie jest formą
istnienia białka,
ale w kominie
coś czasem załka,
czasem coś liźnie.
czasem coś gwiźnie
coś się pokaże
w samej bieliźnie...

Tyle, że w Picton nie czasem, tylko stale, za to nie tak błyskotliwie jak u naszej poetessy czy w „Tybetańskiej Księdze Umarłych", która wyróżnia cztery fazy umierania od momentu kiedy „ciało ogarnia narastająca słabość", aż do „odnalezienia siebie w nowej, bezcielesnej powłoce".

Jeszcze innym sposobem oswajania śmierci – równie zresztą skutecznym jak pozostałe – jest „życie po życiu" wylansowane przez dr Raymonda Moody'ego. Autor wyróżnia 10 etapów przejścia w zaświaty i z powrotem, w których najpopularniejszy jest tunel ze świetlistą aureolą na końcu. Opublikowano setki relacji osób, którym udało się przeżyć własną śmierć. I tak 18-letnia Kinga Śniegocka, która po zatruciu organizmu przez rozlany wyrostek „umarła na kilka minut" opowiada, że otaczała ją ciemność, ale w oddali widziała

światło. Pisze: „Nagle zdałam sobie sprawę, że nic mnie nie boli, przeniknęło mnie na wskroś uczucie niezwykłej lekkości, a także przepływającej przeze mnie bezwarunkowej miłości i sympatii. Jakbym była nie gościem w tej przestrzeni, ale po latach nieobecności wróciła do domu, gdzie czekają na mnie z utęsknieniem. Wtedy pomyślałam: mnie tu jest dobrze i ja chcę tu zostać (...) Tęsknię za tym uczuciem. Już nie boję się śmierci". I o to właśnie chodzi. Może niekoniecznie, żeby tęsknić, ale żeby się nie bać.

Ivo Andric, Noblista, powiedział kiedyś, że „Kto się boi nie wiedząc właściwie czego, boi się podwójnie", ale nie miał chyba na myśli „życia po życiu" Moody'ego. Sceptycy protestują, bo gdy się umiera, to „z reguły na bardzo długo". Mówiąc poważnie: śmierć nie jest procesem, śmierć jest nieodwracalnym stanem. Adam Pietrasiewicz powiada wprost: „Bez wahania można więc stwierdzić, że dr Moody i jemu podobni, wydając milionowe nakłady książek o życiu po życiu, zapewniają sobie wygodne życie za życia".

Rytuał śmierci zmienia się wraz z cywilizacją. Żeby się o tym przekonać wystarczy sięgnąć po branżowy miesięcznik „Kultura Pogrzebu". Odnotowano tam, że w USA już niebawem rusza kablówka, której głównym programem będą transmisje z pogrzebów, że w Australii już teraz dwa cmentarze mają w ofercie transmisje z pogrzebu w Internecie: „Zamawiający otrzymuje hasło do strony internetowej, na której będzie pokazana ceremonia. Hasło można przekazać pięćdziesięciu osobom, a kosztuje to sto dziesięć dolarów". Na rynku pojawiły się świecące o zmroku krzyże zasilane bateriami słonecznymi i trumny z sensorami wykrywającymi ruch w ich wnętrzu na wypadek gdyby pochowano kogoś w stanie katalepsji.

Jedna z firm proponuje pogrzeb z karaoke, inna otrzymała już patent na nagrobek, który wyświetla zdjęcia zmarłego, jeszcze inna ubiega się o wyłączność na instalowanie w grobach komputerów, które pozwolą pokazywać całe filmy ze zmarłym w roli głównej i to w roli z tekstami. Tytuł informacji: „Zmarli wkrótce przemówią".

Ubocznym produktem tych innowacji był wypadek na pogrzebie w Belgii, kiedy żałobnicy usłyszeli sygnał telefonu komórkowego dobiegający z trumny. Ktoś dzwonił do nieboszczyka, ale bez skutku, to znaczy bez odpowiedzi, bo skutek, a nawet dwa skutki jednak były. Po pierwsze niektórzy z uczestników pogrzebu rozpierzchli się w popłochu, a po drugie rodzina zmarłego wytoczyła proces firmie pogrzebowej, bo jej pracownicy nie sprawdzili co nieboszczyk ma w kieszeni.

Andrzej S. Koziara

Władysław Szyszko

Freudysta najpewniej znalazłby w rysunkach Władysława Szyszki ślady zamazywanych czy oswajanych lęków, krytyk intuicjonista odnotowałby delikatność i przewrotność zarazem, strukturalista zwróciłby uwagę na mikrostrukturę rysunku, w którym pojedynczy, martwy zdawłoby się punkt, ożywa w linearnych ciągach, historyk sztuki szukałby związków z surrealizmem, recenzent orzekłby, że tak się już nie rysuje, a widz... widzowi to się po prostu podoba. I każdy ma swoje racje. Jedno jest pewne: Szyszko z wynalazku ołówka, tej utwardzonej mieszaniny sproszkowanego grafitu, blutonitu i wosku, uczynił bardzo precyzyjne narzędzie pozwalające mu tworzyć głębokie i wieloznaczne metafory między człowiekiem i naturą. Rzadko można dziś zobaczyć rysunki, które w pełni potwierdzają przekonanie, że ołówek jest najbardziej bezpośrednim, subtelnym i wszechstronnym, a przy tym najprostszym z możliwych instrumentów sztuki. Warto też przypomnieć, rysunek jest techniką, która nie toleruje najmniejszych luk w umiejętnościach i w sposób bezlitosny demaskuje wszelkie warsztatowe „niedoróbki", bluff, niedomaganie wyobraźni i brak koncepcji. Rysownik, z wykształcenia archeolog i konserwator sztuki, a także absolwent wydziału historyczno-filozoficznego Jagiellonki, po raz pierwszy pokazał swoje rysunki w połowie lat 60. w krakowskiej Piwnicy pod Baranami, a potem już była Kopenhaga, Genewa, Berlin, Wiedeń, Londyn. Jak to napisano „kameralny koncert na ołówek i kredkę" trwa, a miniatury rysownika z Krakowa znaleźć można w niejednej galerii i wielu zbiorach prywatnych na świecie.

Andrzej S. Koziara, „Symbioza", Nike 2004

Krzysztof Gieniusz

Kiedyś oglądając pejzaż Krzysztofa Gieniusza, spytałem go co znaczą kolorowe kręgi na niebie nad Sokółką. Malarz, nie wahając się ani chwilę, wskazał na swoją głowę i przezwyciężając chorobę, która nie pozwala mu płynnie mówić wyznał, że „to tu jest". Daleki jestem od przecenienia intelektualnej sprawności autora, ale też nie sposób zlekceważyć gestu malarza, który w ten sposób mówi „to ja", czyli kreuje siebie, a nie wizję kosmicznego najazdu. Malarz nie chciał mnie przekonywać, że do Sokółki zbliżają się pojazdy z Kosmosu, lecz jak umiał tak powiedział, że on to wymyślił.
Geniusz nie zna ani akademickich, ani żadnych innych zasad „kładzenia koloru", nie ma też zapewne wiedzy o symbolice koloru, ale w jego przypadku przysłowiowa „iskra boża" starcza za całą tę wiedzę. Ona też sprawia, że jego obrazy są od początku do końca zakomponowane kolorystycznie i jednobrzmiące niczym etiudy na temat czerwieni, zieleni czy żółci.

Andrzej S. Koziara, „Świat wedug Gieniusza", Nike 2001

Jacek Ziółkowski

W pejzażach Ziółkowskiego rzadko pojawiają się ludzie, a jeśli już, to są to drobne, niewiele znaczące figurki, ot plamki pigmentu w morzu zieleni. Nie jest jednak tak, że to, co ludzkie pozostaje całkiem poza krajobrazem. Człowiek jest tu obecny poprzez ślady swojej aktywności i to aktywności zaznaczonej na różnych poziomach. Oglądamy więc wiejską drogę, dom i płoty wokół niego – to ślady materialne, użytkowe, choć też nie pozbawione symboliki. Są też inne, bo oto w krajobrazie pojawia się krzyż przydrożny i stale powraca motyw małej kapliczki. Architektura tej ostatniej ledwie zaznaczona bielą to znak, że i tu odbywa się rozmowa między niebem a ziemią.

Andrzej S. Koziara, „Po prostu pejzaż", Nike 2004

Mirek Pawłowski

Nachylony nad dużym arkuszem papieru zdaje się nie słyszeć i nie widzieć nic co dzieje się wokół niego – maluje. Nad koroną samotnego drzewa pojawia się wielki pas agresywnej czerwieni, niebieska plama, zielony trójkąt i w samym centrum tej niezwykłej tęczy – żółty owal, który być może jest słońcem, być może kosmicznym jajem. Tak czy owak z tego świetlistego środka kompozycji wylatują ku widzowi ptaki ledwo zaznaczone dwoma dotknięciami pędzla. Są jak przecinki na tle gęstej, żeby nie powiedzieć rozbuchanej kolorami przestrzeni, ale im bardziej są ulotne, im mocniejszy jest kontrast między nimi a tłem, tym bardziej przekonywająca jest iluzja lotu kilkunastu, może dwudziestu ptaków. (...) Zarówno w starszych, jak i najnowszych pracach malarza ptasich lotów zawsze pojawiają się nieodmiennie dwa te same motywy: ptaki szybujące ku słońcu lub po łuku tęczy. Trudno przeoczyć, że to zawładnięcie wyobraźni przez mit Ikara graniczy z obsesją, a na pewno jest erupcją pragnień i marzeń człowieka skazanego na Dom Pomocy Społecznej, człowieka, który być może nigdy nie słyszał o zuchwałym synu Dedala i jego locie ku słońcu. Słońca Mirka, malowane akwarelą, gwaszem lub ulubionymi kredkami, są ogromne, często nie mieszczą się na kartce z rysunkowego bloku, więc pojawiają się jako fragment wielkiej gwiazdy tworzącej układ, dzięki któremu rosną drzewa i latają ptaki. Często jest to wielka gorąca kula w centrum kompozycji namalowana tak, jakby pensjonariusz Domu w Zaściankach wiedział, że w każdej sekundzie na słońcu miliony ton wodoru zamieniają się w hel wytwarzając energię, której 0,005 % starczyłoby na pokrycie energetycznych potrzeb całej ludzkości. Niepojęte, ale tak to jest, i muszą to przyznać nawet ci, którzy jak diabeł święconej wody boją się grzechu nadinterpretacji.

Andrzej S. Koziara, „Zaściankowy Ptasiek", Nike 2002

Joanna Zaręba

Nie jestem pewien, czy Joanna Zaręba z Krakowa ma soboli pędzel ze skuwką z miedzi platerowanej niklem, ale maluje jakby miała. Jeśli nawet nie z ogona kołymskiej norki, to przynajmniej z włosia białowieskiej kuny. Tak czy owak, malarka najwyraźniej polubiła puszczę i maluje ją na swój sposób nie jako „ścianę lasu", lecz każde drzewo z osobna, bo w każdym pniu i w każdej koronie znajduje coś na swój sposób niepowtarzalnego, coś, co z lekką przesadą można nazwać osobowością drzewa. To coś właśnie sprawia, że jej zwyczajne akwarele zwyczajnych pejzaży odbiera się w sposób niezwyczajny.

Andrzej S. Koziara, „Gadające drzewa", Nike 2005

Miłogost Ćwiertnia

Na początek odrzućmy podejrzenia o prowokację czy naiwność, a to z tej przyczyny, że jak na to pierwsze Ćwiertnia jest zdecydowanie za mało krzykliwy i przemawia zbyt pastelowo, ale naiwny też nie jest, bo dąży do wyznaczonego celu – tyleż uparcie, co skutecznie. I to za pomocą takich środków, że zasługuje na miano profesjonalisty. (...) Byłoby błędem mniemać, że Ćwiertnię całego i bez reszty pochłania gra kolorów, formy i światła – malarz lubi też symbole i aluzje, a nawet literaturę. Czymże bowiem jest malowanie całego cyklu wierzb tak polskich, jak płacząca czy rokita, jak nie manifestowaniem treści do wierzby przypisanych, a więc smutku, tęsknoty, rozczarowania i łaski boskiej. Wprawdzie Ćwiertnia gruszek na wierzbie nie maluje, ale patrząc na te jego rosochate polish willows, nietrudno o skojarzenie z poetą: „Gdzie polem powiewa wierzbina, wiem, że się Polska kończy lub zaczyna".

Andrzej S. Koziara, „Złota łąka", Nike 2005

10 lat

W jednym zdaniu podsumowanie 10 lat.

Krzysztof Majer: – Wesołe momenty, spotkania z wieloma ludźmi, a ostatnio coraz trudniej, bo coraz mniej czasu, coraz więcej papierkowej roboty – pisania programów, rozliczeń...

Andrzej Wołkowycki: – Bardzo szybko zleciało. Gdy pomyślę, że to już dziesięć lat, to zastanawiam się, kiedy ten czas minął... Kiedy liczy się imprezy przygotowane w tym czasie, bilans wygląda znacznie ciekawiej. Nie powiem, że nie czuję zmęczenia, ale dalej robię to z chęcią, planuję przyszłość z NIKE.

K. M.: – Z naszymi akcjami dotarliśmy do ponad 50 tysięcy odbiorców. Bezpośrednio, bo nie liczymy na przykład czytelników gazet, telewidzów i radiosłuchaczy, do których docierały informacje medialne o naszych działaniach.

A. Wolski: – Spotkania z ludźmi, wyciąganie ludzi niepełnosprawnych ze społecznego marginesu, z cienia. Udało nam się

Twórcy Stowarzyszenia na Rzecz Twórców Niepełnosprawnych NIKE: (od lewej) Andrzej Wolski, zastępca prezesa, Krzysztof Majer, zastępca prezesa, Andrzej Wołkowycki, prezes

z NIKE

wyzwolić ich aktywność, pasję twórczą, a w efekcie powstawały prace plastyczne, robiliśmy wystawy, plenery, wydawaliśmy książki, kalendarze. Coś się udało.

Najważniejsze, waszym zdaniem, zdarzenie związane z NIKE to:

K. M.: – Rok przed powstaniem NIKE zacząłem pracować z osobami niepełnosprawnymi. Wcześniej działałem w branży budowlanej. Dla mnie to było coś w rodzaju zmiany tożsamości.

A. Wołkowycki: – Praca w stowarzyszeniu pomogła mi przełamać wiele osobistych barier. Choćby taka z pozoru prosta rzecz: idę do firmy i proszę o pieniądze. Dla mnie to była kwestia przełamania się wewnętrznego, zrozumienia, że tak ma być, że tak można, że nie powinienem czuć się jak żebrak. Staliśmy się bardziej pracowici, bardziej uważni. Na przykład na to na co i ile wydaje się pieniędzy.

A. Wolski: – Dla mnie najsilniejszym przeżyciem związanym z NIKE była śmierć jednej z osób.

Znaliśmy się z pleneru, planowaliśmy kolejny. Tuż przed wyjazdem dostaliśmy wiadomość, że ta osoba popełniła samobójstwo. To zdarzenie uświadomiło mi, w jakim środowisku pracujemy, jak trzeba być delikatnym w kontaktach z tymi osobami. Doświadczenie było traumatyczne, ale bardzo dużo mi dało. Cenię też sobie fakt, że działając w NIKE mogłem wejść w środowisko białostockie. Dla mnie, przybysza z zewnątrz, nawiązywanie nowych znajomości jest bardzo ważne.

Zajmowanie się osobami niepełnosprawnymi, to tylko kwestia zawodowa, czy również osobista?

K. M.: – Moja córka jest osobą niepełnosprawną, więc w naturalny sposób znam środowisko i zajmuję się niepełnosprawnością. Natomiast praca w NIKE, to zupełnie inna sprawa. Kiedy spędza się z ludźmi niepełnosprawnymi wiele czasu, dowiaduje się, poznaje się czym żyją, czym się interesują. To jest zupełnie inna forma kontaktu. Człowiek obserwujący osoby niepełnosprawne na ulicy czy w miejscu pracy dostrzega przede wszystkim różnice. Przebywając z nimi dłużej, wchodząc w bliższe relacje, zaczyna się dostrzegać coraz więcej podobieństw, uświadamiać sobie, jak w gruncie rzeczy niewiele się różnimy. A jeżeli są jakieś istotne różnice, to chyba takie, że osoby niepełnosprawne są bardziej otwarte, szczere, naturalne.

A. Wołkowycki: – Dla mnie to rodzaj przypadku. W rodzinie, ani w najbliższym otoczeniu nie miałem z niepełnosprawnością bliższej styczności.

A. Wolski: – Z wykształcenia jestem pedagogiem specjalnym, jednak przez wiele lat zajmowałem się czym innym. Mój powrót do zawodu wiąże się z działalnością w NIKE.

Co jest Wam osobiście najbliższe, najważniejsze w działaniach NIKE?

K. M.: – „Moją" imprezą był plener w Lewkowie, który z braku czasu musieliśmy zawiesić. Ostatnio brak czasu wymusił podział zadań. Mnie przypadło Spotkanie z Twórczym Życiem Osób Niepełnosprawnych – doroczne podsumowanie działalności w Filharmonii Białostockiej. W trakcie tej imprezy odbywa się aukcja prac artystów niepełnosprawnych i niezwykle ważne dla nas wręczenie Statuetek Wdzięczności – laurów przyznawanych tym wszystkim, którzy robią coś na rzecz osób niepełnosprawnych. Nagradzamy sponsorów, ale też ludzi, którzy nie dają pieniędzy, za to pomagają nam swoim zaangażowaniem, służą wolnym czasem.

A. Wołkowycki: – Imprezą, z którą jestem najbardziej emocjonalnie związany, jest Międzynarodowy Plener Twórców Niepełnosprawnych w Białowieży. Pochodzę z Białowieży, chciałem kiedyś przywieźć tam osoby niepełnosprawne, pokazać im ten piękny zakątek Podlasia, spotkać ich ze wspaniałymi ludźmi, którzy tam żyją. Z miejscem spotkań związane jest też hasło pleneru:

Przyroda – Integracja – Sztuka. Teraz plener przeniósł się do Kukli i myślę, że co najmniej przez kilka lat będziemy go organizować. Co potem? Zobaczymy... Ostatnio najwięcej pracy włożyłem w powstanie kolejnego kalendarza i wydawnictwo NIKE, na łamach którego właśnie się wypowiadam (śmiech).

A. Wolski: – Dla mnie najważniejsze są zajęcia arteterapii, które prowadzimy już od kilku lat. Odbywają się w Białymstoku, w Ośrodku Szkolno-Wychowawczym. Dwanaście godzin tygodniowo, 60-cioro dzieci. Zapewniamy wyposażenie pracowni, opłacamy instruktorów prowadzących zajęcia. Pracownia plastyczna, prace w drewnie, były zajęcia muzyczne, a teraz zamierzmy wprowadzić technikę witrażu – konkretnie Technikę Tiffaniego (zamiast szyn ołowianych, używa się taśmy miedzianej). W przyszłym roku chcemy wprowadzić ceramikę – w ośrodku jest piec, potrzebujemy materiałów i narzędzi. Poza tym taka niezwykle sympatyczną dla mnie formą działalności NIKE były wydawnictwa. Przede wszystkim tomiki poezji – Sylwii Chorąży, Basi Bejtman, Anny Markowej, Borysa Rusko. Myślę, że autorom sprawiliśmy sporą radość tymi publikacjami. Poza tym odbywający się co dwa lata konkurs plastyczny. W tym roku napłynęło ponad 300 prac. Najlepsze tradycyjnie są prezentowane w Muzeum Rzeźby Alfonsa Karnego.

Co się w tym czasie zmieniło w podejściu do osób niepełnosprawnych?

A. Wolski: – Kiedy zaczynaliśmy, instytucjonalna opieka nad osobami niepełnosprawnymi była w Polsce na dość niskim poziomie. Brakowało innego spojrzenia na osoby niepełnosprawne. Po latach spędzonych poza Polską wiedziałem, że można to wszystko robić inaczej. To był początek współpracy z Krzyśkiem Majerem. Byliśmy w jakimś sensie z zewnątrz, mieliśmy inne pomysły, chcieliśmy próbować nowych metod, już wtedy zaczęliśmy wprowadzać arteterapię. Zacząłem pracować z Andrzejem Wołkowyckim, powstał pomysł pierwszego pleneru, wydanie kalendarza, założyliśmy stowarzyszenie. I wszystko zaczęło się toczyć.

K. M.: – To nie było tak, że wszystko wymyśliliśmy od nowa. Na przykład wystawy i aukcje prac osób niepełnosprawnych były organizowane już wcześniej. Natomiast zazwyczaj działo się to w ośrodkach, w szkołach. Naszym zamysłem było wyprowadzenie ich na szersze forum publiczne. Dlatego od początku staraliśmy się współpracować z instytucjami kultury, nasze imprezy odbywały się w filharmonii, wystawy w profesjonalnych muzeach. Staraliśmy się w to włączyć media – bardzo mocno zaangażowała się Telewizja Białystok, Kurier Poranny. Teraz podobnych akcji jest więcej. Nasz pomysł chwycił, jest powtarzany w innych miejscach.

Gdyby ktoś chciał pójść w wasze ślady, o co powinien się zatroszczyć – jakie mieć cechy, czego się spodziewać, na co nastawić?

K. M.: – Trzeba mieć dużo wolnego czasu albo umieć się doskonale zorganizować. Niejeden raz zastanawialiśmy się, czy nie odpuścić, nie zawiesić działalności, bo po prostu czasem fizycznie brakuje czasu na pisanie wniosków, rozliczenia, wędrówki po sponsorach. Do sprawnego działania trzeba przynajmniej kilku osób chętnych, operatywnych i mających sporo wolnego czasu. Na przykład nie mogłem być w tym roku na plenerze, bo zabrakło mi urlopu. I tak to często w praktyce wygląda...

A. Wołkowycki: – Trzeba odwagi, żeby zrobić pierwszy krok, żeby od planów przejść do konkretów, żeby wejść w procedurę rejestracji stowarzyszenia. Dla wielu ludzi problemem jest założenie własnej firmy – boją się rzucić na otwartą wiodę, wziąć pełną odpowiedzialność za swoje życie, za utrzymanie rodziny, za innych ludzi, z którymi będą pracować. Dobrze mieć w takim momencie kogoś, kto wesprze, podpowie, pomoże w papierkowej robocie. Po drugie: w miarę oryginalny, ciekawy pomysł na działalność. Nie odkryje się Ameryki, natomiast trzeba stworzyć taką koncepcję, która nie wyczerpie się po dwóch czy trzech latach. To, co zaproponowaliśmy, jako Stowarzyszenie NIKE, okazało się chwytliwe. Trzecia podstawowa sprawa, to źródła finansowania. Obecnie możliwości są praktycznie dwie: sponsorzy prywatni i pieniądze publiczne. To pierwsze rozwiązanie sprawdza się lepiej w dużych miastach: jedna firma, jednym przelewem może zapewnić takiemu stowarzyszeniu jak nasze rok działalności. Dla nas 20 czy 30 tysięcy, to ogromna kwota. Dla dużej firmy, koncernu, kwota ledwie zauważalna w budżecie.

A. Wolski: – Dobre pomysły leżą na ulicy. Wystarczy trochę wejść w środowisko, rozejrzeć się, popytać. Takim tematem, którego w Białymstoku nikt do tej pory na większą skalę nie ruszył, jest aktywizacja zawodowa osób niepełnosprawnych. Próbujemy to robić. Jednak zajmujemy się przede wszystkim osobami niepełnosprawnymi intelektualnie. Poza tym jesteśmy zbyt małym stowarzyszeniem, by udźwignąć ten problem we wszystkich koniecznych aspektach. Potrzeba zajęć z profesjonalnymi trenerami, wyjścia niepełnosprawnych poza warsztaty terapii zajęciowej, wielu działań promocyjnych i szkoleniowych, nastawionych nie tylko na osoby niepełnosprawne, lecz także na potencjalnych pracodawców i w ogóle na zmianę świadomości społecznej. Podam prosty przykład: miasto organizuje jakąś konferencję, po której trzeba pozmywać naczynia, posprzątać. Te

prace mogliby z powodzeniem wykonać niepełnosprawni. Tylko najpierw musi zaistnieć świadomość takiego rozwiązania, trzeba przygotować się do niego organizacyjnie i sprzętowo. Trzeba budować system, który będzie przewidywał obszary przeznaczone na aktywizację niepełnosprawnych. Obie strony potrzebują przygotowania do takiej akcji.

K. M.: – Takiej działalności nie da się prowadzić hobbystycznie. Stowarzyszenie musiałoby mieć etatowych pracowników, zajmujących się konkretnymi dziedzinami. My mamy obowiązki zawodowe, musimy dbać o utrzymanie, jakoś planować przyszłość. W NIKE działamy „po godzinach".

Co stoi na przeszkodzie, żeby tak rozwinąć działalność NIKE, żebyście mogli przejść na etaty i poświęcić się tylko pracy na rzecz stowarzyszenia?

A. Wołkowycki: – Prawdę mówiąc brakuje odważnego, który zaryzykowałby taką akcję. Brakuje nam silnej presji: pracując społecznie, robimy sporo ciekawych imprez, mamy duże osiągnięcia. W jakiś sposób spełniamy się osobiście i zawodowo. Tak gwałtowne rozwinięcie działalności NIKE wiązałoby się z dużym ryzykiem. Żaden z nas nie czuje się w tej chwili gotowy, by je podjąć.

Czy w tej sytuacji jest szansa na następne 10 lat NIKE i z NIKE?

A. Wołkowycki: – Jesteśmy trochę zmęczeni, ale...

A. Wolski: – Trudno rozstać się z czymś, co robiliśmy przez tyle lat, wiec może nie następne dziesięć, ale jeszcze kilka sezonów na pewno.

K. M.: – Są problemy, ale też nie brakuje nowych pomysłów. Mam taki pomysł, żeby umożliwić osobom niepełnosprawnym wyjazd nad morze. Są wśród osób, z którymi pracuję takie, które jeszcze nigdy nie widziały morza. Planujemy tez wyjazdowe warsztaty teatralne. Oba te projekty wstrzymują trudności ze zdobyciem pieniędzy na imprezę poza województwem. Ale pracuję nad tym.

Ile potrzeba pieniędzy na taką akcję?

K. M.: Tygodniowy wyjazd 32 osób z opiekunami jak obliczałem, to koszt około 25 tysięcy. ponad połowę tej sumy moglibyśmy otrzymać z PFRON-u, ale musimy mieć wkład własny – jakieś 12 tysięcy.

Mówiliście, że poza pieniędzmi potrzebujecie kogoś, kto się odważy? To propozycja serio?

A. Wolski: – Szukamy kogoś, kto wziąłby jakąś część naszej działalności. Nie musiałby rozpoczynać od podstaw – mógłby skorzystać z naszych doświadczeń, z marki NIKE, stowarzyszenia rozpoznawalnego, cieszącego się zaufaniem.

A. Wołkowycki: – Zapraszamy. To nie jest tak, że chcemy się wszystkiego zrzec – ale przydałaby się nam świeża krew.

Depresja i sztuka

„Mam deprechę". Jaka jest różnica między deprechą a depresją? Kiedy kończy się kolejny zły dzień, a zaczyna groźna choroba? Kiedy przychodzi ten moment, gdy już nie możemy siłą woli zmusić się do punktualności, wywiązywania z coraz trudniejszych zadań?
Te i wiele innych pytań związanych z „chorobą XX wieku" postawili twórcy wystawy „Depresja" w białostockiej Galerii Arsenał. Część artystów zaproszonych przez Magdalenę Godlewską (kurator wystawy) odniosła się do depresji niezwykle osobiście. Wykorzystali własne doświadczenia z chorobą – którą przeszli osobiście lub na którą zapadły bliskie im osoby. Depresja okazała się sposobem wykluczenia, utraty kontaktu z otoczeniem, niemożnością poradzenia sobie z samym sobą. Można zaryzykować stwierdzenie, że depresja to jeszcze jedna forma niepełnosprawności. Szczególnie w społeczeństwie, które odrzuca (z niezrozumienia, strachu) równie łatwo osoby dotknięte chorobami umysłu, jak i chorobami (deformacjami) ciała. Pojawia się uczucie wstydu: niepełnosprawni chowają się przed światem. Jedni w domach, w zakładach opieki – inni jeszcze głębiej, w sobie samych. W obu przypadkach szansę na wyjście z ukrycia, na wyzbycie się wstydu, oswojenie własnych emocji jest tworzenie. Nie zawsze jest to sztuka, ale nie jest to wykluczone. Sztuka osób niepełnosprawnych nie musi być tylko rodzajem terapii. Zalecana jest w tym względzie duża ostrożność. Uogólnienia prostą drogą prowadzą do stworzenia kolejnego „getta". Wyżyny sztuki nie są zarezerwowane tylko dla osób „sprawnych".

Arteterapia i kreatywność

Sztuka w różnych formach towarzyszyła człowiekowi od zarania dziej—w. Przez taniec, śpiew, rysunek czy malowanie wyrażano emocje i uczucia. Terapeutyczne, jak i diagnostyczne funkcje sztuki wykorzystywane są w arteterapii. W szerokim tego słowa znaczeniu arteterapia obejmuje działania przy pomocy teatru, filmu, sztuk plastycznych, a także muzykoterapię, choreoterapię i biblioterapię. W węższym znaczeniu oznacza wykorzystanie technik plastycznych i ich wytworów w terapii i diagnozowaniu.

Rysunek jest trwałym zapisem, do którego można odnieść wyniki procesu edukacyjnego. „Rysunek ma jeszcze tę dodatkową zaletę, że jest inicjowany i kontrolowany (…), przez co zostaje wzmocnione ego jednostki. Ukończone dzieło, jak i sam proces tworzenia, zapewni (…) poczucie rozwoju i osiągnięcia celu, będące warunkiem osobistej satysfakcji i przekonania o własnej wartości" – piszą Oster i Gould w swojej pracy.

Pojęcie arteterapii próbuje zdefiniować E. Konieczna „Sztuka stanowi podstawę do wszelkich działań wychowawczych i estetycznych oraz moralnego rozwoju człowieka" (…) Wzrosło zainteresowanie metodami obejmującymi szeroko rozumianą sztukę, które kryją się pod nazwą „arteterapia".

Nie jest to jednak definicja rozstrzygająca problem nazewnictwa tego rodzaju terapii, mimo że termin arteterapia jest najczęściej spotykany w polskiej literaturze. Używa się synonimów: arteterapia, arterapia, autoterapia, Można spotkać takie określenia jak: terapia rysunkiem, plastykoterapia, terapia sztuką, terapia przez twórczość,. Te nazwy są stosowane zamiennie w szerszym lub węższym znaczeniu przez różnych autorów.

W szerokim znaczeniu arteterapię można podzielić na rodzaje ze względu na zakres znaczeniowy: niektóre rodzaje nawiązują do ogólnie pojętej sztuki, ekspresji twórczej i kontaktów z przyrodą:

- arteterapia – za pomocą sztuki lub sztuk plastycznych,
- biblioterapia – czytelnicza za pomocą słowa, publikacji,
- choreoterapia – leczenie za pomocą tańca,
- chromoterapia – leczenie kolorami, barwami,
- dramatoterapia – przygotowanie i uczestniczenie w spektaklach teatralnych,
- estetoterapia – doznania estetyczne, kontakt np. z dziełami sztuki,

– ergoterapia – zajęcia w pracowniach tkackich, ceramicznych, rzeźbiarskich,
– hortikuloterapia – przez przebywanie lub pracę w ogrodzie.
– ludoterapia – za pomocą gier i zabaw,
– muzykoterapia – za pomocą zajęć muzycznych,
– silvoterapia – poprzez obcowanie z lasem,
– talasoterapia – poprzez obcowanie z morzem,
– socjoterapia – poprzez przebywanie w zorganizowanej grupie społecznej.

Kreatywność – jak wyjaśnia Słownik Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych, to „twórcza postawa, dzięki której każdy może łatwiej rozwiązywać swoje problemy. Jest to naturalna cecha, dzięki której każdy może łatwiej rozwiązać nawet najtrudniejsze problemy. Kreatywność przejawia się w gotowości do tworzenia nowych pomysłów i wynajdowaniu oryginalnych rozwiązań i dlatego jest ona szczególnie eksponowana wśród umiejętności kształtowanych we współczesnej szkole".

Co możemy nazwać działaniem kreatywnym? Czy działanie twórcze to już kreatywność? Czy można je stosować zamiennie?

Helena Olechnowicz pisze, że „twórczym można więc nazwać każde działanie mające trzy cechy:
– po pierwsze, jako realizowanie wrodzonej potrzeby czynno-

Jadwiga Sawicka, „Niedobra" Kto jest niedobry – kobieta czy sukienka? To my jesteśmy wadliwi, czy świat w którym żyjemy. Jadwiga Sawicka w sposób ostentacyjnie piękny wyraża istotę depresji, a może każdej choroby: oddzielenie, zerwanie harmonii ze światem, nagłe poddanie w wątpliwość jakości nas samych – naszego ciała, naszej duszy. To jeszcze nie skazanie – to nie jest „zła", lecz „niedobra" sukienka/osoba. „Niedobra" – niedobrana, nie zła, ale też nie dobra. Pojawił się dysonans, pierwszy sygnał, a może już pierwszy objaw?

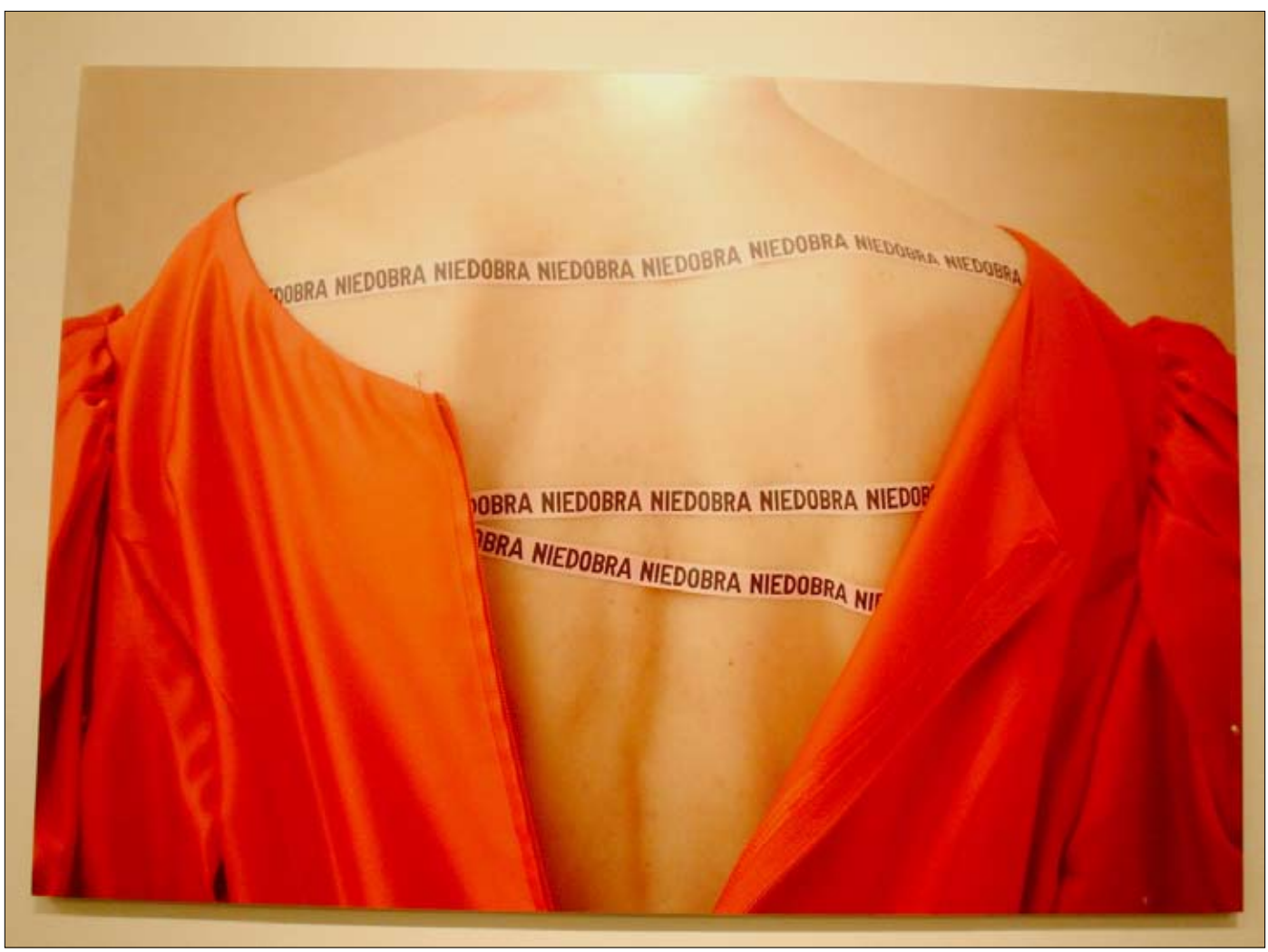

ściowej jest ono spontaniczne i jest przyjemnością (…);
– po drugie, wszystko cokolwiek w jego efekcie powstaje, odznacza się wyższym stopniem złożoności niż produkt wyjściowy;
– trzecią istotną cechą twórczości jest oryginalność dzieła, tj. przewaga elementu twórczego nad odtwórczym. Gdy rozpatrujemy czy rozwiązanie problemu jest twórcze, czy nie, bierzemy pod uwagę, ile możliwych wariantów rozwiązań, zarówno poprawnych, jak błędnych, badany potrafił przedstawić i ile spośród nich można uznać za oryginalne. Natomiast temat dzieła oraz potrzebne sprawności techniczne i pojęciowe nie są istotne dla zakwalifikowania dzieła jako twórczego.

Wyróżnia się dwa rodzaje działań twórczych, a mianowicie: niezamierzone (realizacja wrodzonych potrzeb czynnościowych) oraz zamierzone (prace poprzedzone zamysłem twórczym). Uważa się jednak, że granice między tym podziałem są płynne, te działania zazębiają się.

Twórczość może być ujmowa-

Lise Kjaer, „Kurtyna modlitwy”

– Mam kolegę Indianina. Zapytałam go, jak rdzenni mieszkańcy Ameryki patrzą na depresję. Powiedział mi, że według ich wiary, jeżeli ktoś nie odczuwa smutku, powinien cofnąć się dziesięć kroków do tyłu i popatrzeć na to, co było wcześniej, przemyśleć to jeszcze raz. Indianie uważają, że jeżeli ktoś popada w depresję, to oddzielił się od samego siebie, od swojego centrum. To cofnięcie się, jest próbą odnalezienia miejsca, w którym kontakt się urwał i odnowienie go. Jest w tym jakaś nadzieja, jakieś wyjście. Sama często potrzebuję takiego wyciszenia, medytacji, żeby odnaleźć siebie ponownie. Ta praca, którą teraz pokazujemy, powstała jako efekt rozmów z młodymi ludźmi na temat tego, jak oni rozumieją depresję.

na jeszcze w inny sposób: z jednej strony twórczością jest dla nas przedmiot (wytwór), z drugiej strony proces twórczy, w wyniku którego rodzą się nowe przedmioty lub idee, a także rozwija się i kreuje osobowość człowieka działającego twórczo.

Można przyjąć, że twórczość to cecha osoby. To zdolność osoby do produkowania wytworów, charakteryzujących się koniunkcją dwóch cech: nowości i wartości. Aby uprościć rozumienie w tym wypadku słowa „twórczość" coraz częściej używa się w tym wypadku terminu „kreatywność", która przejawia się zwykle w formie obserwowalnego zachowania, polegającego na produkcji nowych i wartościowych wytworów, ale również wytworem kreatywności może być samo zachowanie (np. taniec, teatr, pantonima).

W tradycyjnym rozumieniu twórczość była działalnością wybitnych i utalentowanych jednostek, powstawały dzieła artystyczne, ważne, doniosłe, trwałe. Twórczość była kategorią z dziedziny sztuki. Obecnie odchodzi się od takiego rozumienia twórczości. Takim odejściem od tradycyjnego rozumienia twórczości jest bardzo dziś rozpowszechniony zwyczaj określania tym słowem aktywności dzieci, zwłaszcza w dziedzinie plastyki.

Pojęcie „twórczości dziecięcej", sformułowane dość dawno przez pedagogów i psychologów, pozostawało przez długi czas ich własnym pojęciem specjalistycznym. Dzisiaj weszło w obieg powszechny i określa zjawisko masowe, niemal powszechne w tym wieku, które jest ważne jako forma osobowego dojrzewania za sprawą ekspresji, a nie rzeczowo, jako produkcja dzieł sztuki. Twórczość dzieci, jak i należy dodać, w równym stopniu osób niepełnosprawnych, jest bliska twórczości dorosłych, różni się od niej zasadniczo ze względu na funkcje, jakie ma pełnić. Nie muszą powstawać dzieła artystyczne, doskonałe, wyróżniane (choć jest to mile widziane przez autorów). To działanie mające sens samo w sobie jako rozwijająca się ekspresja osobowości.

Katarzyna Kida, „Baby Blues" – Nie chcę ukrywać tego, że przeżyłam depresję. Moja praca jest bardzo osobista, nawiązuje do tego momentu, kiedy byłam chora. Sztuka w moim przypadku jest rodzajem terapii. To, że mogę się na ten temat wypowiedzieć, w jakiś pozytywny sposób uzasadnia cierpienie, nadaje sens temu, przez co przeszłam. Kiedy byłam chora, bardzo się wstydziłam tego, co mnie spotkało. Teraz mogę mówić. Nie jest to przyjemne, ale bardzo wartościowe doświadczenie.

Anna Konik, „Przezroczystość" Niezwykle prosta i niezwykle trafiona praca. Artystka zauważyła, że ludzie starzy, bezdomni i niepełnosprawni są w podobny sposób postrzegani przez resztę społeczeństwa. My, uważający się za „sprawnych", mający własne mieszkania, mogący ciągle liczyć na swoje zdrowe i młode ciała, patrzymy na „innych" tak, jakbyśmy patrzyli na szklaną szybę. Widzimy, ale nasz wzrok ucieka w przestrzeń. Nawet nie odwracamy głowy, nie trzeba – ci ludzie są dla nas „przezroczyści". Dlaczego tak robimy? Odpowiedź jest prosta: ze strachu. Niepełnosprawność, bezdomność i starość to tematy tabu współczesnej cywilizacji: unikamy ich z podobną skrupulatnością jak myśli o śmierci, która nikogo przecież nie ominie.

Twórczość to nie tylko uzdolnienia twórcze, ale i postawa twórcza, kreatywna. To nastawienie, gotowość do przekształcania świata rzeczy, zjawisk, ale i własnej osobowości. Jest to aktywny stosunek człowieka do świata i życia, wyrażający się potrzebą poznawania, przezywania i świadomego rzeczywistości i własnego „ja".

Przy używaniu pojęcia „twórczość", zaczerpniętego kiedyś przez nauki społeczne z języka potocznego, w różnym stopniu podkreśla się jedne aspekty zjawiska twórczości, a pomija inne. Rozumienia jednoznacznego chyba nie określimy, ale przyjąć na pewno można, że pojecie twórczości czy kreatywności funkcjonuje w naszej rzeczywistości.

Opracował K. Majer

Literatura

Konieczna E. J., *Arteterapia w teorii i praktyce*, OW Impuls, Kraków 2004.
Knapik M., Sacher W. A., *Sztuka w edukacji i terapii*, Kraków 2004.
Nęcka E, *Psychologia twórczości*, GWP, Gdańsk 2003, s. 19.
Olechnowicz H., *Wyzwalanie aktywności dzieci głębiej upośledzonych umysłowo*, WSiP, Warszawa 1994.
Oster G. D, Gould P., *Rysunek w psychoterapii*, GWP Gdańsk 2000.
Popek S., *Aktywność twórcza dzieci i młodzieży*, WSiP, Warszawa 1988, s. 27.
Popek S., *Analiza wartości estetycznych i pozaestetycznych w twórczości plastycznej dzieci* (w:) Tyszkowa M., Żurakowski B., *Wartości w świecie dziecka i sztuki dla dziecka*, PWN Warszawa–Poznań 1984.

Arteterapia w praktyce

Wykorzystując twórczość w procesie arteterapii „można założyć realizowanie się następujących funkcji rozwoju w procesie twórczości:
- poznawania, przeżywania oraz działania,
- motywacji do działania,
- wartościowania i samooceny,
- samoświadomości,
- samorealizacji i kreacji,
- terapii i dynamicznej harmonii osobowości,
- uspołecznienia".

Dzięki twórczości mogą się również realizować inne potrzeby psychiczne takie jak: wyrażania się i ekspresji, poczucia własnej wartości i znaczenia, przeżyć estetycznych. Zainteresowania twórczością plastyczną zajmujące pierwszorzędną pozycję wśród zainteresowań artystycznych dzieci i osób

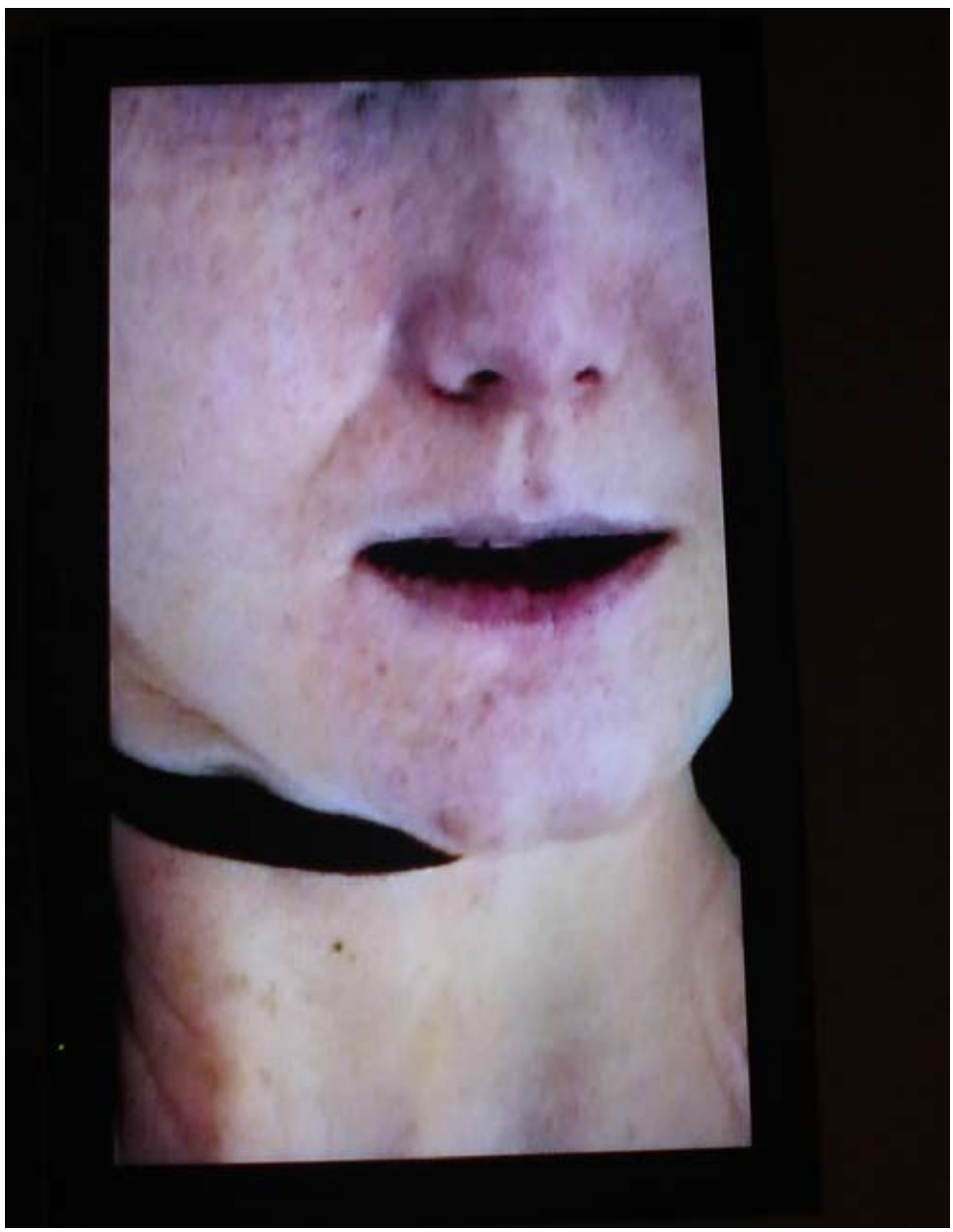

Katarzyna Kozyra, „Olimpia”
Katarzyna Kozyra dokonała czegoś, co można nazwać przemianą choroby w sztukę. Przez kilka lat walczyła z rakiem. Na filmie „Olimpia” zarejestrowała zabieg chemioterapii. Nie wnikając w kontekst i możliwe znaczenia pracy, warto zwrócić uwagę na proces odzyskiwania kontroli. Artystka czyniąc siebie samą i swoją chorobę dziełem sztuki, odzyskała w pewnym sensie władzę nad własnym ciałem. Każda osoba poważnie chora musi powierzyć siebie specjalistom. Musi słuchać werdyktów, w których mówi się o leczeniu raka, o rehabilitacji aparatu ruchu czy opóźnianiu zaniku mięśni. Mówi się o ciele, jakby to był jakiś mechanizm osobny, nie związany z pacjentem, z chorym człowiekiem. Ma to swój sens (pozwala rozmawiać o chorobie, zapanować nad paniką). Jednocześnie jednak dochodzi do aktu destrukcji – jedność ciała i umysłu, duszy i materii zostaje zaburzona. Mówiąc „ja”, myślimy o sobie jako całości. W chorobie nasze „ja” zostaje wyrzucone z „zepsutego” ciała. Ciałem zajmują się fachowcy. Czyniąc się bohaterką filmu, a własne ciało tworzywem sztuki, Katarzyna Kozyra odzyskuje nad nim kontrolę – sztuka pozwala jej powrócić do pełni człowieczeństwa. Powrócić do siebie, być ze sobą i sobą nie tylko w zdrowiu, ale i w chorobie, dochować wierności własnemu człowieczeństwu. Zaakceptować swoją indywidualną kondycję – taką, jaka jest.

niepełnosprawnych, prowadzą do ukierunkowania i rozszerzenia zainteresowań poznawczych, a to z uwagi na to, że podstawą rodzenia się pomysłów twórczych jest otaczający świat.

Konieczność poznania świata stwarza szansę rozwojową dla procesów poznawczych, emocji i uczuć, motywacji i woli działania. Regulacyjna wartość twórczości plastycznej dzieci to uświadomienie sobie funkcji, terapeutycznej i oczyszczającej procesu twórczego. Osoba niepełnosprawna, bardziej niż człowiek dorosły, narażona jest na negatywne oddziaływania otoczenia zarówno w sferze poznawczej i emocjonalnej.

W procesie arteterapii wykorzystuje się sztukę w efektywnym radzeniu z własną niepełnosprawnością, a w szczególności z przystosowaniem i radzeniem z krytycznymi wydarzeniami życiowymi. Spowodowanie dążenia osób niepełnosprawnych do pokonania jakichś barier, osiągania i przekraczania różnych standardów jest działaniem, które uczy:

– samodzielnego działania nastawionego na osiągnięcie odległego celu; otwartości na doświadczenia;
– odwagi ukazania swej odrębności innym; rozpoznawanie własnych sił i możliwości;
– odwagi bycia oryginalnym i twór-

Barbara Kasprzycka-Łosiak, „Depresje sezonowe” – Moja mama chorowała na depresję prawie dziewięć lat. Skończyło się to tragicznie, popełniła samobójstwo. Ale właściwie nie o to chodzi w moich pracach – nie staram się przywołać tamtych wydarzeń. To, co tworzę, zawsze było zapisem emocji, próbą szukania w ciele znaków, odbicia emocji, próbą odpowiedzenia sobie na pytanie, co takiego się stało, że człowiek popadł w taki stan. Co przeoczyliśmy po drodze, że nagle osiągamy ten punkt w życiu, w którym przestajemy sobie radzić totalnie ze wszystkim. Depresja to jest bardzo zły stan, w którym człowiek sam sobie nie może pomóc, bo sam siebie przestaje rozumieć. Jest tak zapętlony, że może tylko powiedzieć: „nie radzę sobie ze sobą”. Prze pewien czas może być w totalnej euforii, potem popada w skrajne zniechęcenie, smutek, kompletny dół. Każdy ma do czynienia z takimi stanami. Dopóki udaje nam się doprowadzać do zerowego bilansu, jest dobrze. Gdy nie potrafimy tego zrobić, musi wkroczyć ktoś z zewnątrz. Problem depresji dla wielu ludzi jest strasznie wstydliwy. Wielu cierpi, lecz nie może się zdecydować na spotkanie z psychiatrą. Boją się potocznych określeń typu „psychol”, „czubek”. Boją się naznaczenia, odrzucenia.

czym, co rozciąga się na wiele dziedzin życia.

W przypadku powodzenia wzmacnia samoocenę, wyzwala uczucie zwycięstwa nad samym sobą, nad narzędziem, materiałem. Sztuki plastyczne wykorzystuje się zarówno w diagnozie, jak i terapii. Mogą być techniką pomocną w procesie poznawania osoby, jak i prowadzenia psychoterapii. Rysunek, obraz, wytwór jest osobistym wyrazem, ekspresją na zewnątrz wewnętrznych doświadczeń. Właściwe wykorzystanie dostarcza informacji nie tylko w diagnozie ale i cennych z terapeutycznego punktu widzenia.

W terapii sztuką wykorzystywane jest malowanie pastelami, malarstwo pędzlem lub palcami, rysunek, lepienie w glinie lub plastelinie, rzeźba, tkanina artystyczna, witraż i inne. Zwraca się tu uwagę zarówno na technikę samą w sobie jak i na powstałe dzieło. Uczestnicy zajęć mogą pracować oddzielnie lub wspólnie tworzyć jeden projekt – dzieło. W terapii sztuką uzdolnienia artystyczne nie są najważniejsze, ważne jest zaangażowanie emocjonalne. Rodzaj i formę działań wybiera sam zainteresowany. Oddziaływanie sztuki na emocje należy wykorzystać do stymulowania rozwoju poznawczego, społecznego i fizycznego. Arteterapia, odpowiednio wykorzystana, wspiera wszechstronny rozwój jednostki i zachowanie równowagi pomiędzy rozwojem procesów poznawczych a życiem emocjonalnym.

Terapia sztuką jest wykorzystywana w pracy terapeutycznej w różnych ośrodkach terapeutycznych dla osób niepełnosprawnych intelektualnie jako podstawowa forma rehabilitacji. Dzięki różnorodności form, daje każdemu podopiecznemu, niezależnie od stopnia niepełnosprawności, możliwość wyrażania siebie w dostępnej dla siebie formie. Wykorzystywana jest w szkołach specjalnych, Warsztatach Terapii Zajęciowej, Środowiskowych Domach Samopomocy. Z zasobów arteterapii korzystają również fundacje i stowarzyszenia działające na rzecz osób niepełnosprawnych w ramach prowadzonych zajęć pozalekcyjnych czy w czasie organizowanych przez siebie konkursów, warsztatów i plenerów artystycznych.

K. Majer.

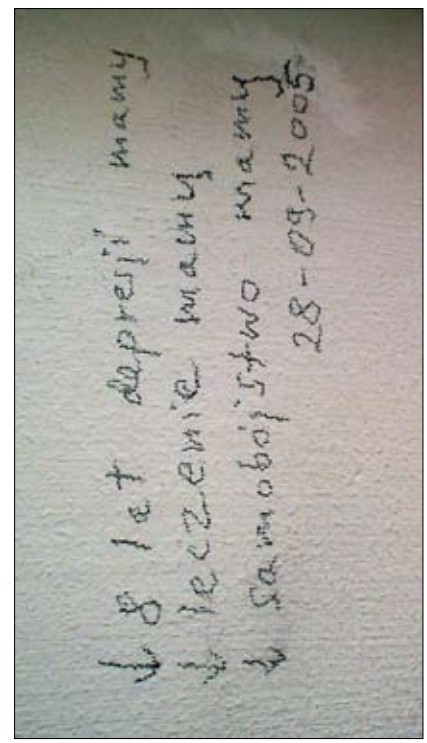

Literatura:

Popek S., *Analiza wartości estetycznych i pozaestetycznych w twórczości plastycznej dzieci.*

Popek S., *Aktywność twórcza dzieci i młodzieży.*

Hryniewicka A., *Rola aktywności twórczej w procesie radzenia sobie.*

Oster G. D., Gould P., *Rysunek w psychoterapii.*

Knapik M., Sacher W. A., *Sztuka w edukacji i terapii.*

– Piszę wyłącznie po to, żeby ludzie czytali. Nie należę do osób, które tworzą do szuflady lub pojmują literaturę jako zabieg autoterapeutyczny. Dlatego moje książki są skierowane zarówno do tzw. zwykłych ludzi, jak i specjalistów przyrodników i historyków. Powstają w konkretnym celu: mają łagodzić obyczaje.

W rozmowie z Joanną Birycką (http://puszcza_bialowieska.republika.pl/publikacje/simona.htm)

* * *

„My, ludzie zdrowi i sprawni, często kaprysimy, grymasimy, ciągle na coś narzekamy. Te nasze ambicje, zachcenia ciągle są niespełnione. Bardzo duża część ludzi dorosłych, sprawnych na ciele i umyśle, nie jest zadowolonych z życia. W ramach terapii polecałabym poprzyglądać się ludziom niepełnosprawnym. (...) W niektórych sprawach warto ich naśladować. Bo oni pewnych rzeczy, którym my przydajemy wartość nadmierną, w ogóle nie uważają za wartościowe. (...) Patrząc na nich zdajemy sobie sprawę, jak mocno grzeszymy brakiem zadowolenia z życia, które mamy. To jest dla nas wszystkich lekcja. Robię się szczęśliwsza obcując z niepełnosprawnymi. Nie z tego powodu, że im coś dolega, a mnie nie. Po prostu będąc tu, zdaję sobie sprawę z tego, jak niewiele trzeba, żeby być szczęśliwym, żeby życie było fajne.

Z wywiadu udzielonego NIKE

Simona Kossak na plenerze w Białowieży

Odeszła Simona Kossak

Prof. dr hab. Simona Gabriela Kossak – urodziła się 30 maja 1943 roku w Krakowie. Pochodziła z „tych" Kossaków – była córką Jerzego Kossaka, siostrą Glorii Kossak, wnuczką Wojciecha Kossaka i prawnuczką Juliusza Kossaka – słynnych malarzy. Porzuciła dawną stolicę Polski dla Puszczy Białowieskiej. Pół życia spędziła w starej leśniczówce „Dziedzinka".

Była biologiem, leśnikiem, a z pasji wspaniałym popularyzatorem nauki. Posiadała tę rzadką wśród naukowców cechę, jaką jest umiejętność prostego mówienia o trudnych i skomplikowanych problemach. Jej opowieści o świecie przyrody, przeszły do legendy. Zarówno te, wygłaszane na antenie Radia Białystok („Dlaczego w trawie piszczy"), jak i setki, a może tysiące gawęd wygłaszanych spontanicznie, z humorem i zajmująco wszędzie tam, gdzie znaleźli się chętni słuchacze. Swoimi opowieściami potrafiła oczarować każdego. Łatwo zaprzyjaźniała się z ludźmi, była otwarta, szczera, nie wynosiła się z powodu posiadanych tytułów naukowych, publikacji i popularności, jaką cieszyła się wśród wszystkich, którzy mieli szczęście spotkać Ją na swojej drodze. Słuchali jej z uwagą również uczestnicy plenerów twórców niepełnosprawnych, organizowanych w Białowieży przez Stowarzyszenie NIKE.

Naukowo zajmowała się m.in. ekologią behawioralną ssaków – sama o sobie mówiła, że jest „zoopsychologiem". Pracowała w Zakładzie Badania Ssaków Polskiej Akademii Nauk w Białowieży oraz w Instytucie Badawczym Leśnictwa w Zakładzie Lasów Naturalnych.

Pisała chętnie i dużo. Jest autorką kilkuset opracowań naukowych, artykułów popularno-naukowych. Kręciła filmy przyrodnicze. Pozostawiła po sobie trzy książki: „Opowiadania o ziołach i zwierzętach", „Wilk – zabójca zwierząt gospodarskich?" oraz monumentalną „Sagę Puszczy Białowieskiej".

Choć usposobienie miała pogodne, a posturę znikomą, to w walce na rzecz ochrony przyrody była bezkompromisowa. Za swoje działania została uhonorowana Złotym Krzyżem Zasługi. Za popularyzowanie wiedzy przyrodniczej na antenie radiowej, Radio Gdańsk przyznało jej nagrodę „Osobowość Radiowa Roku 2003".

Zmarła 15 marca w Białymstoku. Nie wygrała walki z chorobą. Do ostatnich chwil pracowała nad radiowymi gawędami, nie zatraciła pogody ducha, nie wyrzekła się swojej misji popularyzacji wiedzy o tym, co przez całe życie kochała. Spoczywa na cmentarzu parafialnym w Porytem.

Konkurs Człowiek-Przyroda 2007

W tym roku odbyła się już 5 edycja konkursu Człowiek-Przyroda. Prace do konkursu zostały zgłoszone w trzech kategoriach:

1. malarstwo,
2. grafika, rysunek i grafika komputerowa,
3. rzeźba, ceramika, tkanina artystyczna.

Ocenie jury poddanych zostało około 500 prac z 40 instytucji zajmujących się rehabilitacją osób niepełnosprawnych oraz od indywidualnych uczestników konkursu. W konkursowe szranki stanęli obok siebie rzeźbiarze i autorzy rysunków, malarze, twórcy form ceramicznych, autorzy miniaturowych witraży, graficy i twórcy tkaniny artystycznej. Wśród nich znaleźli się zarówno artyści uprawiający te dziedziny sztuki amatorsko, jak i profesjonaliści.

Wszystkie nagrodzone prace były prezentowane na wystawie w Muzeum Rzeźby Alfonsa Karnego w Białymstoku do końca stycznia 2008 roku.

Organizatorzy konkursu serdecznie dziękują Prezydentowi Miasta w Białymstoku, Państwowemu Funduszowi Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych oddział Podlaski oraz Kierownictwu Muzeum Rzeźby A. Karnego w Białymstoku za pomoc w organizacji konkursu.

Odwiedzając wystawę, raz jeszcze można się przekonać, że osoby niepełnosprawne w codziennym życiu, są w pełni sprawnymi artystami. Ich prace budzą autentyczny szacunek. Zarówno te, które powstały poza regułami wszelkich mód i konwencji artystycznych, jak i te, których twórcy używają w pełni świadomie swego warsztatu, którzy zasługują na miano profesjonalistów. W odczuciu wielu odbiorców najcenniejsze są prace oparte nie na fachowej wiedzy, lecz na inspiracji płynącej z serca – na intuicji i pierwotnej potrzebie wyrażenia siebie. W tych pracach uderza swoista harmonia niedoskonałości warsztatowej i rzadko spotykanej szczerości i swobody wyboru technik i środków wyrazu.

Krzysztof Malinowski z Augustowa, „Ryba”

Zwycięzcy konkursu Człowiek-Przyroda 2007

Malarstwo

Zacznijmy od nagród za malarstwo. Pierwsza nagroda trafiła do Krzysztofa Sęka z Rąbienia za obraz „Na hali" – pracę w dojrzałej formie i jednolitej, utrzymanej w jasnej tonacji kolorystyce. Drugą nagrodę otrzymał Krystian Skorupa z Dąbrowy Górniczej za pracę „Królowa ptaków" – przedstawiającą papugę w bajecznej kolorystyce. Trzecie miejsce otrzymała Pani Teresa Tomaszek z Krakowa za cykl autoportretów, a wyróżnienie Paulina Łuszczak z Torunia za pracę „Ważka".

Grafika

W kategorii grafika, rysunek i grafika komputerowa jury miało najtrudniejszy wybór w wyłonieniu laureatów konkursu z uwagi na ilość, jak i bardzo wysoki poziom prac. To właśnie w tej kategorii zgłoszone zostały prace zarówno amatorów, reprezentowanych przez Marka Turkota z Łomży – grafika tworzącego klasyczne linoryty i nagodzonego pierwszą nagrodą za pracę „Natura" – utrzymanych w klasycznej formie litografii inspirowanych roślinami i ptakami, grafików z Torunia – Marcina Robaczewskiego (zdobywcy drugiej nagrody w konkursie w roku 2003), autora kolorowej grafiki „Mrowisko" i Agnieszkę Zabudowską z grafiką „Spokój", nagrodzonych trzecią nagrodą i wyróżnieniem, jak i prace profesjonalistów Bogusławy Makiewicz i Marka Bajora. Pani Bogusława Makiewicz za cykl przepięknych grafik otrzymała specjalną nagrodę Stowarzyszenia NIKE, natomiast Pan Marek Bajor, za cykl abstrakcyjnych rysunków „Navigare", otrzymał drugą nagrodę.

Rzeźba

W kategorii rzeźba, ceramika, tkanina artystyczna zdecydowanymi zwycięzcami zostali augustowianie z Warsztatu Terapii Zajęciowej w Augustowie specjalizującego się w ceramice: Marek Dadura – pierwsza nagroda za ceramikę „Kot", Magdalena Bokuniewicz – druga nagroda za pracę „Kwiaty" i Mieczysław Kisłowski – trzecia nagroda za pracę „Wazon". Wyróżnienie otrzymała Agata Oczkowska z Dąbrowy Górniczej za pracę „Pingwiny".

Ponadto jury konkursu pod przewodnictwem Pana Ryszarda Saciuka – kierownika Muzeum Rzeźby Alfonsa Karnego w Białymstoku przyznało wyróżnienia: Agnieszce Matuk z Białegostoku za cudownie kolorową pracę „Pies", Ewie Makarewicz z Sokółki za pracę „Moje strusie", Janowi Stirmerowi z Krzywisza, najstarszemu uczestnikowi konkursu, za pracę „Spotkanie z naturą" oraz Renacie Jagielskiej z Torunia za pracę „Żniwa".

Andrzej Wolski

Tuż przed ogłoszeniem wyników i wręczeniem nagrod...

Jedną z prac widocznych na stole wystawienniczym jest „Kot", za którego Marek Dadura z Augustowa dostał I nagrodę w kategorii rzeźba

I nagroda w kategorii grafika: Marek Turkot z Łomży – „Natura"

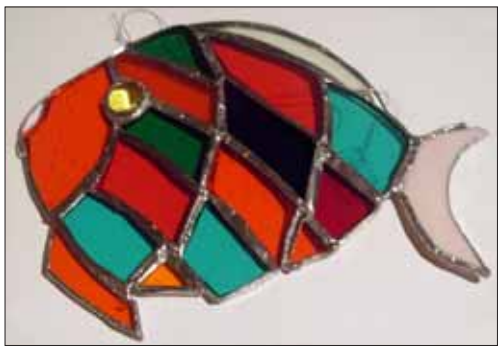

Beata Lotko z Augustowa, „Ryba”

Ewelina Wysocka z Augustowa, „Sowa”

II nagroda w kategorii rzeźba: Mieczysław Kisłowski, „Wazon”

Marek Turkot w czasie wernisażu w Muzeum Rzeźby Alfonsa Karnego

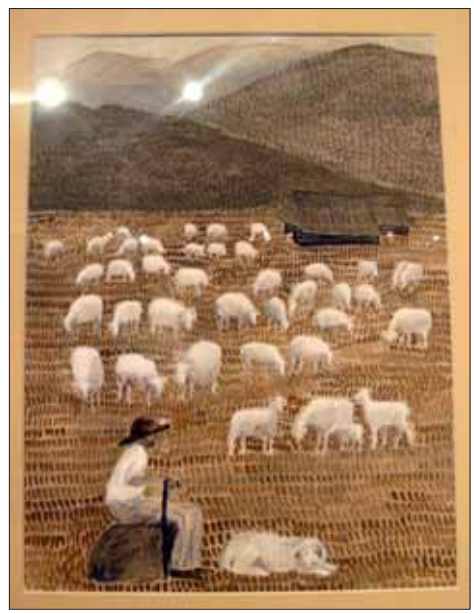

I nagroda w kategorii malarstwo: Krzysztof Sęk z Rąbienia, „Na hali”

II nagroda w kategorii malarstwo: Krystian Skorupa z Dąbrowy Górniczej, „Królowa ptaków”

Autorzy prac prezentowanych w naszym kalendarzu to osoby niepełnosprawne, żyjące na pograniczu dwóch światów. Jednym jest świat ludzi „normalnych", drugim zaś ten, w którym zasadnicza okazuje się świadomość odrębności, spowodowanej faktem własnej ułomności. Usytuowanie na tak pojmowanym pograniczu, czyli „pomiędzy", okazuje się być położeniem pozwalającym na inne spojrzenie, zarówno na otaczającą rzeczywistość, jak i na sam akt malowania czy rysowania. W obrazach niepełnosprawnych możemy znaleźć wizerunki ptaków, dzikich zwierząt, martwych natur i wyimaginowanych pejzaży. Znajdziemy tutaj również wizerunki ludzi. Sposób ujęcia, tych przecież znanych tematów, bywa jednak zaskakujący i niejednokrotnie dający do myślenia. W znacznej części te obrazy są ujawnieniem emocji autorów, a jednocześnie często pobrzmiewa w nich nastrój wynikający ze świadomości własnej izolacji. To pozwala na wyostrzone spojrzenie. Dzięki temu zwykłe domowe koty zostają tutaj potraktowane zgodnie z ich właściwą naturą zwierząt-drapieżców. Ujęte jako ekspresyjne formy malarskie, zamaszyście zbudowane czerwoną farbą niepokojąco wypełniają powierzchnię kartki. W pejzażach trawa może mieć kolor błękitny, zaś niebo barwę żółtą.

Innym razem narysowany pastelem wizerunek natury okazuje się mieć kolorystykę nadzwyczaj ściszoną, utrzymaną w gamie szaro-zielonej. Liryczny nastrój obrazu wyzwala skojarzenia muzyczne. Własna wrażliwość spojrzenia, z domieszką nieodzownej w takich wypadkach fantazji, okazują się być znacznie silniejsze i bogatsze, niż jakikolwiek porządek narzucony przez „obiektywną" obserwację, jak również akademickie, a więc wyuczone, konwencje. Jakkolwiek niektóre obrazy pozwalają na porównania, na przykład z malarstwem formistycznym Stanisława Ignacego Witkiewicza, inne z fowizmem Matisse'a. Jeszcze inne nasuwają skojarzenia ze światem kultury popularnej, której charakter nadaje telewizja, ilustrowane magazyny, komiksy, krzykliwie kolorowe okładki książek i zeszytów szkolnych. W cywilizacji obrazu trudno jest obronić się przed tym, co atakuje wzrok i wdziera się w pamięć. Pomimo to obrazy prezentowane w kalendarzu są na swój sposób swoiste i nie stanowią komentarza dzieł – na przykład Witkacego, Matisse'a czy rzeczywistości kultury popularnej. Stanowią o sobie i tylko o sobie. Ich wspólną cechą jest element poetycki, a jeśli coś jest sztuką, to jest jednocześnie poezją. Ta bowiem zawsze jest sztuką.

W tym momencie może się okazać, że określenia w rodzaju „twórczość nieprofesjonalistów", podobnie jak „twórczość amatorów" lub „niepełnosprawnych", wydają się być podobnie mylące, jak na przykład hasło „sztuka popularna". Zazwyczaj bowiem mają one na celu usprawiedliwienie czegoś, co nie będąc może w pełni sztuką, nosi jednak jej pozór. Wynika to z przeświadczenia, że prawdziwe dzieło sztuki musi być kreacją artysty-profesjonalisty. Jeśli jednak mamy do czynienia z autentyczną twórczością, wtedy nie będzie miało już żadnego znaczenia, że jest to na przykład działalność „profesjonalisty" lub „nieprofesjonalisty". Dowodem tego mogą być prace reprodukowane w naszym kalendarzu.

Andrzej Kisielewski

Mirosław Pawłowski

2008

10 lat

NIKE

STOWARZYSZENIE
NA RZECZ TWÓRCÓW NIEPEŁNOSPRAWNYCH

Miłogost Ćwiertnia

Pn/Mo	Wt/Tu	Śr/We	Cz/Th	Pt/Fr	So/Sa	N/Su
	1 ***Nowy Rok*** Mieczysława	**2** Izydora Grzegorza	**3** Danuty Zdzisława	**4** Elżbiety Anieli	**5** Hanny Edwarda Szymona	**6** ***Trzech Króli*** Kacpra Melchiora Baltazara
7 Lucjana Juliana	**8** Seweryna Juliusza	**9** Adriana Marceliny	**10** Danuty Wilhelma	**11** Honoraty Matyldy	**12** Ady Benedykta Arkadiusza	**13** Bogumiły Weroniki
14 Feliksa Niny	**15** Pawła Arnolda	**16** Marcelego Włodzimierza	**17** Antoniego Jana	**18** Małgorzaty Piotra	**19** Henryka Marty Mariusza	**20** Fabiana Sebastiana
21 Agnieszki Jarosława	**22** Anastazego Wincentego	**23** Ildefonsa Rajmunda	**24** Rafała Felicji Franciszka	**25** Pawła Miłosza	**26** Tymoteusza Michała	**27** Anieli Jerzego
28 Walerego Karola	**29** Franciszka Józefa	**30** Macieja Martyny	**31** Jana Marceli Ludwiki			

Styczeń
January

10 lat
NIKE
STOWARZYSZENIE NA RZECZ TWÓRCÓW NIEPEŁNOSPRAWNYCH

2008

Krzysztof Gieniusz

Pn/Mo	Wt/Tu	Śr/We	Cz/Th	Pt/Fr	So/Sa	N/Su
				1 Brygidy Ignacego	2 Marii Mirosława	3 Błażeja Oskara
4 Joanny Andrzeja Józefa	5 Agaty Adelajdy	6 **Popielec** Bogdana Pawła Doroty	7 Ryszarda Teodora	8 Hieronima Sebastiana Piotra	9 Apolonii Eryki Cyryla	10 Elwiry Jacka
11 Grzegorza Lucjana	12 Radosława Damiana Modesta	13 Grzegorza Katarzyny	14 **Walentynki** Cyryla Metodego	15 Jowity Faustyna	16 Danuty Juliana	17 Aleksego Łukasza
18 Szymona Konstancji	19 Arnolda Józefa Konrada	20 Leona Ludomira	21 Roberta Eleonory	22 Marty Małgorzaty	23 Izabeli Damiana	24 Macieja Marka Bogusza
25 Cezarego Donata Wiktora	26 Mirosława Aleksandra	27 Gabriela Anastazji	28 Chwaliboga Józefa	29 Ludomira Romana		

Luty
February

10 lat

NIKE STOWARZYSZENIE NA RZECZ TWÓRCÓW NIEPEŁNOSPRAWNYCH

2008

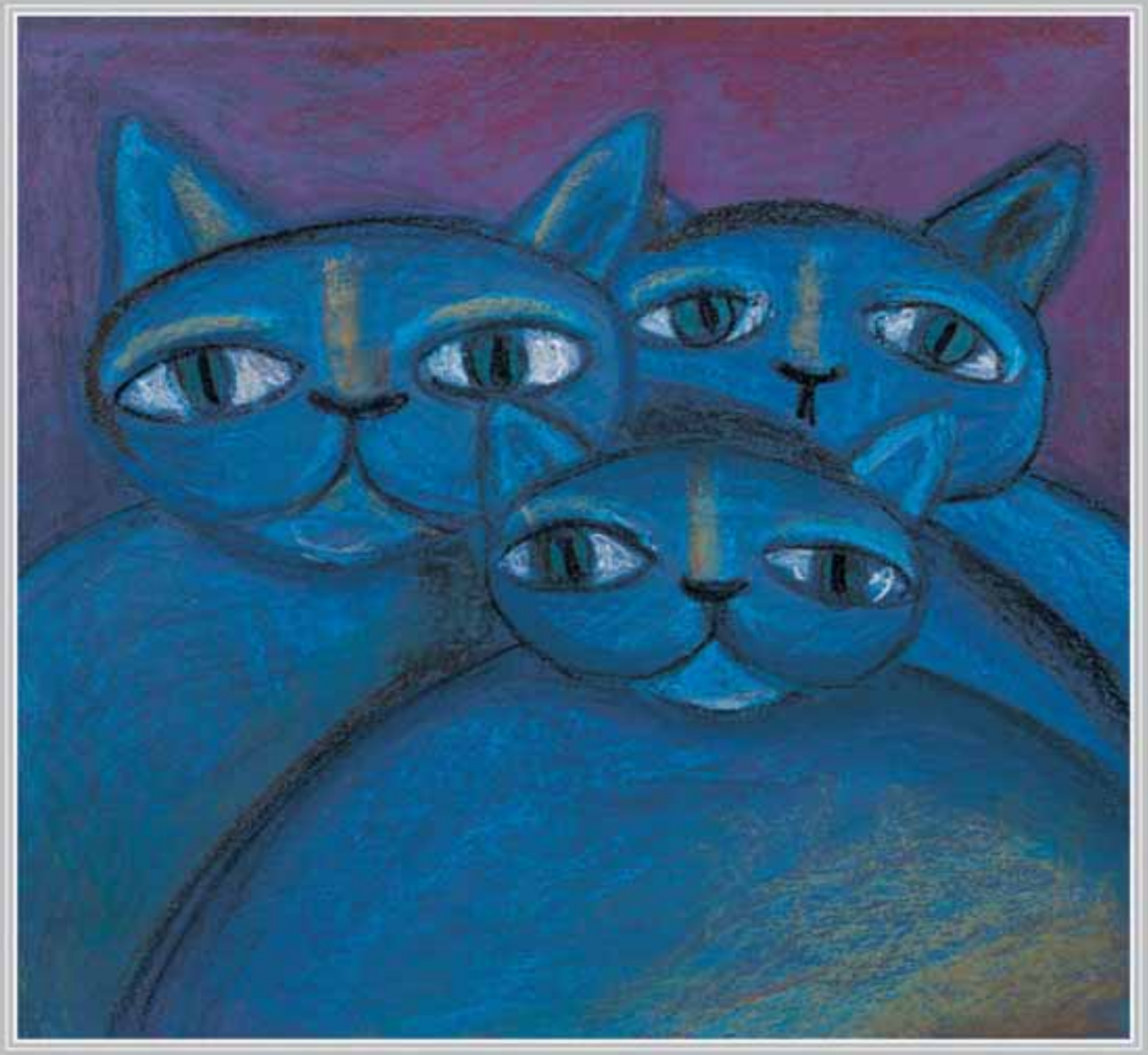

Grzegorz Bobryk

Pn/Mo	Wt/Tu	Śr/We	Cz/Th	Pt/Fr	So/Sa	N/Su
					1 Albina Antoniny	2 Heleny Halszki
3 Maryny Kunegundy	4 Arkadiusza Eugeniusza	5 Adriana Fryderyka	6 Róży Wiktora	7 Tomasza Pawła	8 ***Dzień Kobiet*** Beaty Wincentego	9 Franciszki Dominiki
10 Cypriana Aleksandra	11 Benedykta Konstantego	12 Alojzego Bernarda	13 Bożeny Krystyny	14 Leona Martyny	15 Longina Klemensa	16 Izabeli Oktawii
17 ***Dzień Św. Patryka*** Reginy Zbigniewa	18 Cyryla Edwarda	19 Józefa Bogdana	20 Klaudi Mauryego	21 Ludomira Benedykta	22 Katarzyny Bogusława	23 ***Wielkanoc*** Pelagi Feliksa
24 Marka Gabriela	25 Marioli Wieczysława	26 Emanuela Larysy Teodora	27 Lidii Ernesta	28 Anieli Jana	29 Cyryla Helmuta	30 Anieli Leonarda ***Czas Letni***
31 Beniamina Balbiny						

Marzec
March

10 lat

STOWARZYSZENIE NA RZECZ TWÓRCÓW NIEPEŁNOSPRAWNYCH

2008

Praca zbiorowa pod kierunkiem Barbary Kondzicz

Pn/Mo	Wt/Tu	Śr/We	Cz/Th	Pt/Fr	So/Sa	N/Su
	1 *Prima Aprilis* Grażyny Ireny	2 Władysława Franciszka	3 Ryszarda Ireny	4 Benedykta Izydora	5 Katarzyny Wincentego	6 Izoldy Ireneusza
7 Rufina Donata	8 Dionizego Juli	9 Marii Dymitra	10 Michała Makarego	11 Filipa Leona	12 Damiana Juliusza	13 Idy Przemysława
14 Bereniki Waleriana	15 Anastazji Wacławy	16 Julii Bernadety	17 Roberta Rudolfa	18 Alicji Bogusławy	19 Adolfa Tymona	20 Czesława Agnieszki
21 Bartosza Feliksa	22 Kai Łukasza	23 Jerzego Wojciecha Idziego	24 Aleksego Horacego	25 Marka Jarosława	26 Marzeny Marii Klaudiusza	27 Ludwika Piotra
28 Pawła Waleri	29 Rity Donaty	30 Mariana Katarzyny				

Kwiecień
April

10 lat
STOWARZYSZENIE NA RZECZ TWÓRCÓW NIEPEŁNOSPRAWNYCH NIKE

2008

Tomasz Matuk

Pn/Mo	Wt/Tu	Śr/We	Cz/Th	Pt/Fr	So/Sa	N/Su
			1 ***Święto Pracy*** Józefa Jeremiasza	**2** Zygmunta Anatola	**3** ***Konstytucji 3 Maja*** Marii Marioli	**4** Moniki Floriana
5 Ireny Waldemara	**6** Filipa Judyty	**7** Benedykta Gizeli	**8** Stanisława Wiktora	**9** Bożydara Grzegorza	**10** Izydora Antoniny	**11** Igi Ignacego
12 Joanny Pankracego	**13** Roberta Serwacego	**14** Bonifacego Macieja	**15** Zofii Nadziei	**16** Andrzeja Jedrzeja	**17** Brunona Weroniki	**18** Eryka Feliksa
19 Piotra Iwa	**20** Aleksandra Bazylego	**21** Jana Wiktora	**22** ***Boże Ciało*** Heleny Wiesławy	**23** Emilii Iwony	**24** Joanny Zuzanny	**25** Magdaleny Grzegorza
26 ***Dzień Matki*** Filipa Pauliny	**27** Augustyna Juliana	**28** Jaromira Justyny	**29** Magdaleny Bogumiły	**30** Karola Ferdynanda	**31** Anieli Petronelli	

Maj
May

10 lat
STOWARZYSZENIE NA RZECZ TWÓRCÓW NIEPEŁNOSPRAWNYCH
NIKE

2008

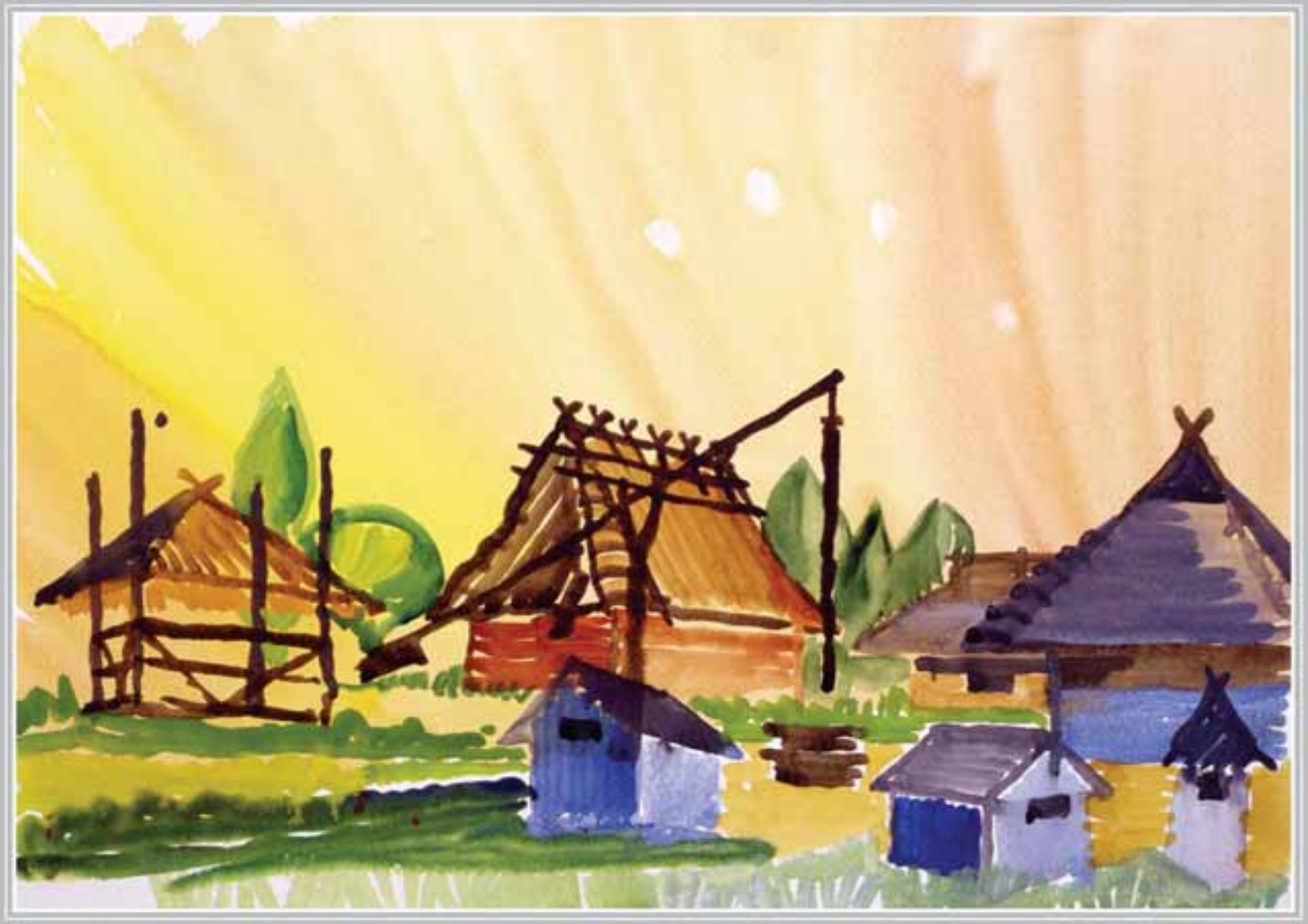

Joanna Zaręba

Pn/Mo	Wt/Tu	Śr/We	Cz/Th	Pt/Fr	So/Sa	N/Su
						1 ***Dzień Dziecka*** Jakuba Konrada
2 Erazma Marianny	**3** Leszka Tamary	**4** Franciszka Karola	**5** Bonifacego Waltera	**6** Norberta Bogumiła	**7** Roberta Wiesława	**8** Maksyma Seweryna
9 Anny Felicjana	**10** Bogumiła Małgorzaty	**11** Barnaby Radomiła	**12** Janiny Jana	**13** Lucjana Antoniego	**14** Bazylego Elizy	**15** Wita Jolanty
16 Aliny Anety	**17** Alberta Ignacego Laury	**18** Marka Elżbiety	**19** Gerwazego Protazego	**20** Diny Bogny	**21** Alicji Alojzego	**22** Pauliny Tomasza
23 ***Dzień Ojca*** Wandy Zenona	**24** Jana Danuty	**25** Lucji Wilhelma Doroty	**26** Jana Pawła	**27** Maryli Władysława	**28** Leona Ireneusza	**29** Piotra Pawła
30 Emili Cyryla Lucyny						

Czerwiec
June

10 lat

NIKE STOWARZYSZENIE NA RZECZ TWÓRCÓW NIEPEŁNOSPRAWNYCH

2008

Jacek Ziółkowski

Pn/Mo	Wt/Tu	Śr/We	Cz/Th	Pt/Fr	So/Sa	N/Su
	1 Haliny Mariana	2 Jagody Urbana	3 Jacka Anatola	4 Malwiny Teodora	5 Marii Antoniego	6 Dominiki Gotarda
7 Benedykta Cyryla	8 Elbiety Eugeniusza	9 Lukrecji Weroniki	10 Olafa Filipa	11 Olgi Kaliny	12 Jana Brunona	13 Ernesta Małgorzaty
14 Bonawentury Stelii	15 Dawida Henryka	16 Eustachego Marii	17 Anety Bogdana	18 Emila Szymona	19 Wincentego Marcina	20 Czesława Fryderyka
21 Daniela Wawrzyńca	22 Marii Magdaleny	23 Bogny Apolinarego	24 Kingi Krystyny	25 Walentyny Krzysztofa	26 Anny Mirosławy	27 Natalii Lilii
28 Wiktora Innocentego	29 Olafa Marty	30 Julity Piotra	31 Ignacego Lubomira			

Lipiec
July

10 lat

NIKE STOWARZYSZENIE NA RZECZ TWÓRCÓW NIEPIEŁNOSPRAWNYCH

2008

Jacek Zaółkowski

Pn/Mo	Wt/Tu	Śr/We	Cz/Th	Pt/Fr	So/Sa	N/Su
				1 Alfonsa Nadii	2 Karmy Gustawa	3 Lidii Augusta
4 Dominika Jana	5 Marii Mariana	6 Sławy Jakuba	7 Klaudii Kajetana	8 Cypriana Dominika	9 Romana Ryszarda	10 Bogdana Borysa
11 Klary Lidii	12 Lecha Euzebii	13 Diany Hipolita	14 Alfreda Euzebiusza	15 ***Wniebowzięcie NMP*** Napoleona	16 Stefana Rocha	17 Anity Elizy
18 Ilony Klary	19 Jana Bolesława	20 Bernarda Samuela	21 Franciszka Joanny	22 Marii Cezarego	23 Róży Apolinarego	24 Emilii Jerzego
25 Luizy Ludwika	26 Marii Zefiryny	27 Moniki Cezarego	28 Patrycji Augustyna	29 Beaty Jana	30 Róży Szczęsnego	31 Izabeli Ramony

Sierpień
August

10 lat

STOWARZYSZENIE NA RZECZ TWÓRCÓW NIEPEŁNOSPRAWNYCH NIKE

2008

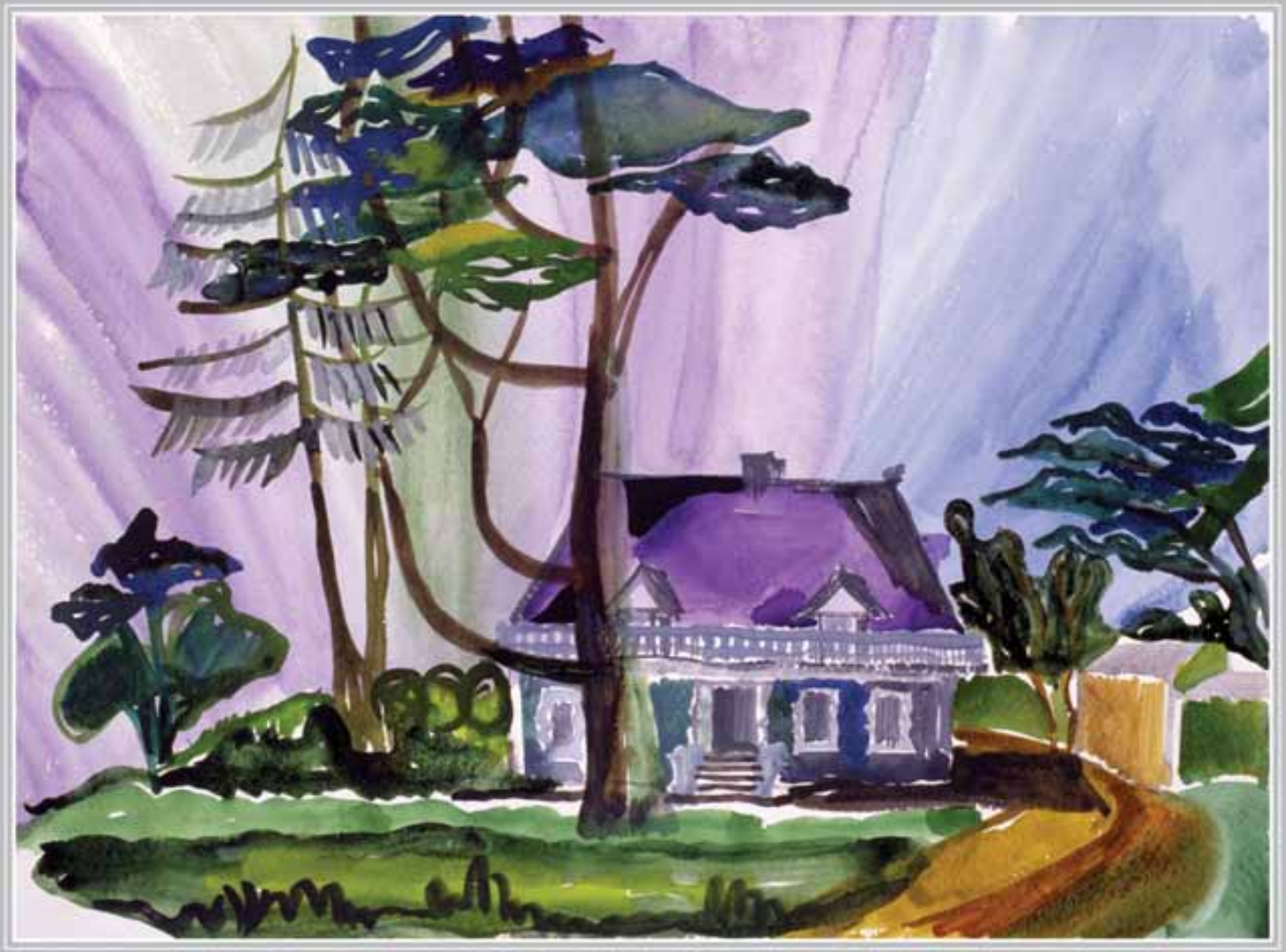

Joanna Zaryba

Pn/Mo	Wt/Tu	Śr/We	Cz/Th	Pt/Fr	So/Sa	N/Su
1 Bronisławy Idziego	2 Juliana Stefana	3 Izabeli Szymona	4 Idy Róży	5 Doroty Wawrzyńca	6 Beaty Eugeniusza	7 Reginy Melchiora
8 Marii Adriany	9 Piotra Sergiusza	10 Łukasza Mikołaja	11 Jacka Dagny	12 Radzimira Gwidona	13 Eugenii Aureliusza	14 Roksany Bernarda
15 Albina Nikodema	16 Edyty Kornela	17 Franciszka Hildegardy	18 Irmy Józefa	19 Januarego Konstancji	20 Filipiny Eustachego	21 Jonasza Mateusza
22 Tomasza Maurycego	23 Bogusława Tekli	24 Geranda Teodora	25 Aurelii Władysława	26 Justyny Cypriana	27 Damiana Amadeusza	28 Luby Wacława
29 Michała Michaliny	30 Wery Honoriusza					

Wrzesień
September

10 lat

STOWARZYSZENIE NA RZECZ TWÓRCÓW NIEPEŁNOSPRAWNYCH NIKE

2008

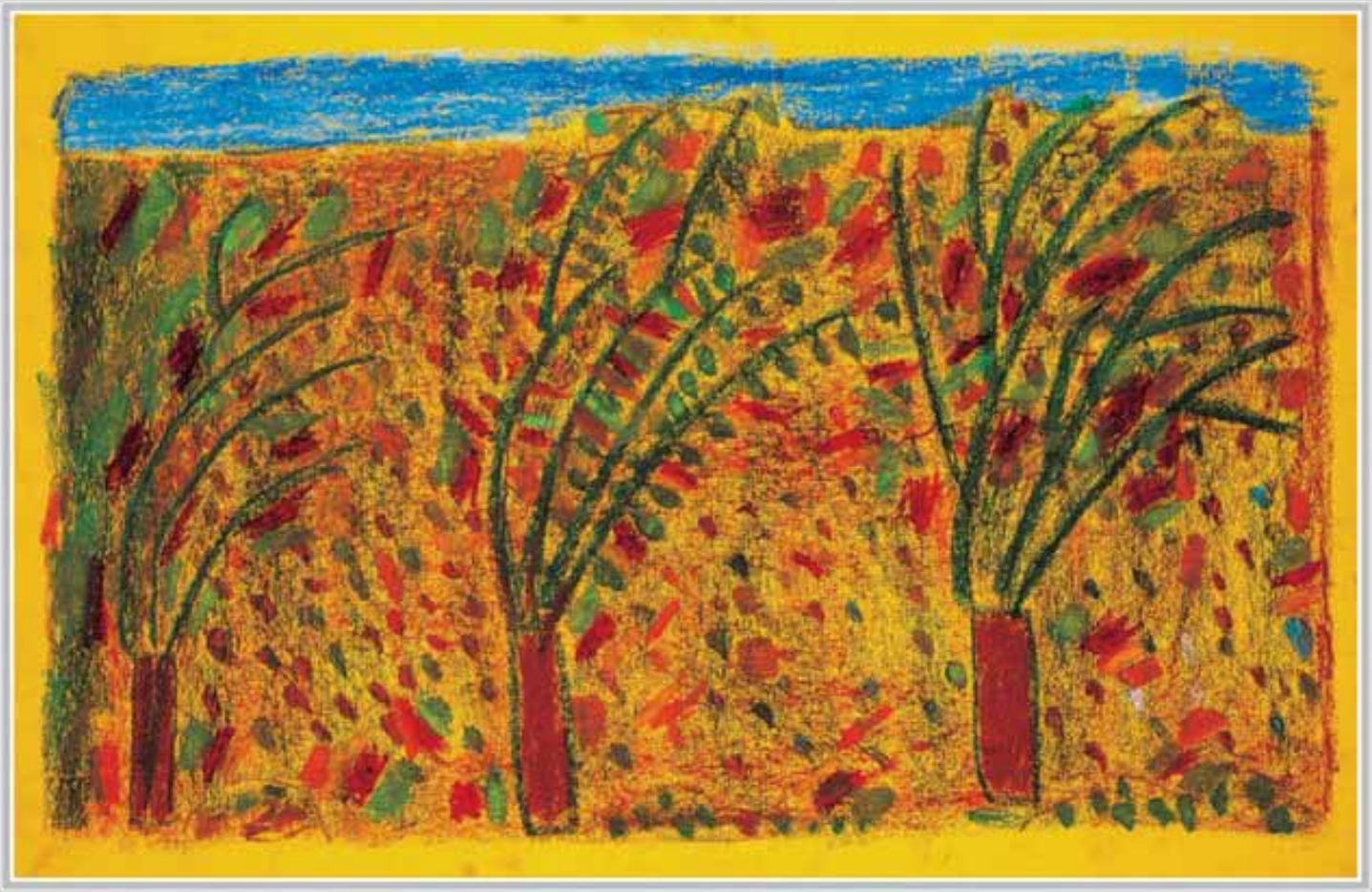

Katarzyna Iwanicka

Pn/Mo	Wt/Tu	Śr/We	Cz/Th	Pt/Fr	So/Sa	N/Su
		1 Danuty Remigiusza	2 Teofila Dionizego	3 Teresy Heliodora	4 Rozalii Edwina	5 Igora Flawii
6 Artura Brunona	7 Marii Marka	8 Pelagii Brygidy	9 Arnolda Dionizego	10 Pauliny Franciszka	11 Emila Aldony	12 Eustachego Maksymiliana
13 Gerarda Edwarda	14 Alana Kaliksta	15 Teresy Jadwigi	16 Gawła Florentyny	17 Małgorzaty Wiktora	18 Juliusza Łukasza	19 Pelagii Piotra
20 Ireny Jana	21 Urszuli Hilarego	22 Filipa Korduli	23 Marleny Seweryna	24 Rafała Marcina	25 Dari Wilhelminy	26 Lucjana Ewarysta *Czas Zimowy*
27 Iwony Sabiny	28 Szymona Tadeusza	29 Euzebii Wioletty	30 Zenobii Przemysława	31 Urbana Krzysztofa		

Październik
October

10 lat
NIKE
STOWARZYSZENIE NA RZECZ TWÓRCÓW NIEPEŁNOSPRAWNYCH

2008

Praca zbiorowa pod kierunkiem Barbary Kundzicz

Pn/Mo	Wt/Tu	Śr/We	Cz/Th	Pt/Fr	So/Sa	N/Su
					1 **Wszystkich Świętych** Juliana Łukasza	**2** **Zaduszki** Bohdany Tobiasza
3 Sylwi Huberta	**4** Karola Olgierda	**5** Elżbiety Sławomira	**6** Feliksa Leonarda	**7** Antoniego Ernesta	**8** Sewera Hadriany	**9** Ursyna Teodora
10 Leny Ludomira	**11** **Święto Niepodległości** Marcina	**12** Renaty Witolda	**13** Mikołaja Stanisława	**14** Rogera Serafiny	**15** Alberta Leopolda	**16** Gertrudy Edmunda
17 Grzegorza Salomei	**18** Romana Klaudyny	**19** Elżbiety Seweryna	**20** Anatola Sędzimira	**21** Janusza Konrada	**22** Marka Cecylii	**23** Adeli Klemensa
24 Flory Emmy	**25** Katarzyny Erazma	**26** Konrada Sylwestra	**27** Waleriana Wilgiusza	**28** Lesława Zdzisława	**29** Błażeja Saturnina	**30** **Andrzejki** Maury

Listopad
November

10 lat

STOWARZYSZENIE NA RZECZ TWÓRCÓW NIEPEŁNOSPRAWNYCH NIKE

2008

Katarzyna Iannicka

Pn/Mo	Wt/Tu	Śr/We	Cz/Th	Pt/Fr	So/Sa	N/Su
1 Natalii Edmunda	**2** Balbiny Bibianny	**3** Franciszka Ksawerego	**4** Barbary Krystiana	**5** Saby Kryspina	**6** Mikołaja Emilana	**7** Marcina Ambrożego
8 Marii Wirgiliusza	**9** Wiesława Leokadii	**10** Julii Danieli	**11** Damazego Waldemara	**12** Dagmary Aleksandry	**13** Łucji Otylii	**14** Alfreda Izydora
15 Niny Celiny	**16** Albiny Zdzisławy	**17** Olimpii Floriana	**18** Gracjana Bogusława	**19** Gabrieli Dariusza	**20** Bogumiły Dominika	**21** Tomasza Tomisława
22 Zenona Honorata	**23** Wiktorii Sławomiry	**24** ***Wigilia*** Adama Ewy	**25** ***Boże Narodzenie*** Anastazji Eugenii	**26** Dionizego Szczepana	**27** Teofili Godzisława	**28** Cezarego Antoniego
29 Dawida Tomasza	**30** Irminy Eugeniusza	**31** ***Sylwester*** Melanii Mariusza				

Grudzień
December

10 lat
NIKE
STOWARZYSZENIE NA RZECZ TWÓRCÓW NIEPEŁNOSPRAWNYCH

2008